

ZYGMUNT NAGÓRSKI JR.

# MIGAWKI z KONTYNENTU

London  
Amsterdam  
Paryż



*Moim obu Marysiom*

sygn. 40

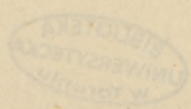
ZYGMUNT NAGÓRSKI JR.

M I G A W K I  
z  
KONTYNENTU



GLASGOW  
KSIĄŻNICA POLSKA

1 9 4 5



ZYGMUNT NAGÓRSKI JR.

M I G A W K I

3

KONTYMENTU

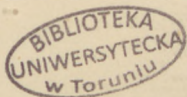
PRINTED IN GREAT BRITAIN  
BY DRUKARNIA WOJSKOWA  
- - - - EDINBURGH - - - -  
NINETEEN HUNDRED AND FORTY FIVE



GLASGOW

KSIĘŻYCA POLSKA

1380483



## KANAŁ JEST WĄSKI

W kwietniu roku 1945-go, gdy wojna dobiegała końca, ale jeszcze trwała, i gdy Rzesza Niemiecka w dalszym ciągu wydawała się z Anglii ziemią daleką i normalną drogą nieosiągalną, perspektywa wyjazdu na Kontynent pachniała przygodą. Przygody tej ogólnie zazdrośczone. Tym więcej delikwent, wyróżniony i dumny, czekał z drżeniem serca na moment wyjazdu. A nuż w ostatniej chwili coś się zmieni? Może się rozmyśla...?

Trudno było najsamprzód dostać naszywki polskiego korespondenta wojennego. Takie sobie zwykle, wyhaftowane złotymi nitkami na tle ciemnym, słowa „Polish War Correspondent”. Na Soho, handlowej i czarnogieldziarskiej dzielnicy Londynu, w podwórzu i na ciemnych schodach, generałowie i szeregowi, korespondenci i członkowie orkiestr pułkowych, stali w długich ogonkach po naszywki. Obsługiwała babina pocziwa, a gadatliwa, starszawa i w wielkich prentensjach. Miała mocno podmalowane policzki, podwiązane fałdy skóry zwisające pod brodą i powłóczyście spojrzenie dla starszych rang i przystojniejszych twarzy. Nie daj Boże trafić było na moment rozmowy przymilnej, a szczebiotliwej, długiej, a wymownej, paniusi sprzedającej swemu wybrańcowi. Minuty cierpliwości zamieniały się w godziny. Ogonek toniał zrezygnowanymi klientami. Lecz niechby się ktoś śmiał odezwać, niechby śmiał o swe prawa klienckie upomnieć...

Miałem szczęście. Właśnie takie normalne, tak zwane psie. Gdy przyszedłem już do pokoju, po wystaniu dobrych kilkudziesięciu minut na schodach, w paniusi obudziła się kobieta! Kobieta, kobietka, kobiecejtko. Do kontuaru zarzucanego strzępami jedwabiu, kawałkami pokrojonych mundurów i całą gamą kolorowych nalepek i naramienników, podszedł młody, przystojny i szarmancki brygadier angielski. Za nim stał wysoki gapiowaty Amerykanin z rękami w kie-

szeniach, zadartą głową i wiecznie poruszającymi się szczękami, co niewątpliwie dowodziło żucia gumy. Potem jeszcze ktoś i ja. A tu zaczęło się tokowanie...

Babina pochylała głowę ruchem wiśniowym, mrugając powiekami zawzięcie i trzepotliwie. Brygadier uśmiechał się kłopotliwie, coraz to wymowniej patrząc na nas. Babina nic nie widziała, nie chciała widzieć. Wyskakiwała z za kontu-tuaru podsuwając mu pod oczy coraz to nowe naszywki, coraz to piękniejsze hafty... Jego czapka z czerwonym otoki-em przekładana była pieczołowicie z miejsca na miejsce, palcami, które samym swym zgięciem oznaczały troskliwość, tkliwość i jakieś bezgraniczne oddanie. Może jednak pocze-kać nieco? A może brygadier zechce zająć po swój obsta-lunek nazajutrz...? Będzie gotowy napewno, napewno...

Amerykanin w tym miejscu widocznie zakrzuszył się gu-mą, bo wypluł ją z hałasem na sam środek sklepu, nie obni-żając przytem poziomu swej zadartej potężnej głowy. Kobie-cinka nagle przemieniła się w babinę, w jędrę, w sekutnicę. Spojrzenie jej rzuciło się na malkontenta jadowicie, wściekle. Czego chce? Amerykańskich naszywek? Niema. Proszę przyjść za tydzień, może za dwa. Manifestant wyszedł. I wtedy babina, odrzucając nabok skórę złego jaszczura, w którego przed chwilą się przemieniła, stała się napowrót kobietką. Z czarującym uśmiechem i gracją podała zgiętą dłoń na pożegnanie brygadierowi. Zanim zaś jeszcze wy-szedł zapytała go głośno, tak głośno, by wszyscy obecni mogli ją dobrze słyszeć, czy czasem nie potrzebuje amerykańskich naszywek dla swoich przyjaciół... Ma bowiem ich tak dużo, że nie wie czy uda się jej sprzedać wszystkie przed końcem japońskiej wojny...

Zdobycie tych naszywek, po trzech wizytach i w sumie około dwóch godzin czekania, uważałem za pierwszy krok w kierunku Kontynentu. I to krok trudny.

Etapem drugim była wizyta po papiery. Wizyta w mieście podziemnym, którego istnienia nie podejrzewałem, przechodząc koło niego wiele razy. Mieście, które z zewnątrz roz-poznawane było tylko przez wtajemniczonych. Bowiem powstało pod ruinami zwalonych niemieckimi bombami domów.

Przez te ruiny jest wejście. Na ruchliwej, pełnej samo-chodów i przechodniów ulicy londyńskiej, mija się je jako rzecz zwykłą, normalną, dawno zapomnianą. Tymczasem te ruiny żyją. Kilka pięter w dół, za szczelnymi drzwiami żelazo-betonowymi, nieprzepuszczającymi gazu, mieszcza się

niezliczone urzędy wojskowe, których funkcjonowanie jest nieodzowne do operacji wojennych. Nie ma okien. Światło neonowe, jaskrawe, męczące. Pokoje przestronne, obwieszane mapami frontów. Biurka i ludzie za tymi biurkami szarzy. Podobno po kilku miesiącach pracy dostaje się z reguły zapalenia oczu. Brak słońca.

Papiery wydali szybko i sprawnie. Posłali jeszcze gdzieś indziej, gdzie już nie tylko wręczyli bilet na samolot, ale także powiedzieli godzinę odlotu. Wszystko razem nie trwało trzydziestu minut. Urzędnik wiedział o mnie wszystko, co było mu potrzebne. Nie czekało się w ogonkach, nie meldowało się woźnym, nie dawało się w łapę, by być możliwie wcześniej załatwionym. Mechanizm biurokratyczny szedł szybko i sprawnie, raz z centrali puszczony w ruch. Bodaj byś to mógł zobaczyć panie starosto prasko-warszawski, gdy po dwudziestu wizytach zdecydowałeś mi się w drodze łaski wydać paszport zagraniczny, mając do niego nieskończoną ilość załączników, świadectw, znaczków stemplowych i wiele godzin i dni mego czasu bezpowrotnie zmarnowanych...!

Jeszcze cierpliwość moja narażona była na próbę, gdy w eleganckich salonach-poczekalniach londyńskich linii lotniczych czekać trzeba było na wiadomość o odlocie samolotu. Mijały godziny jedna za drugą. Mopsiły się i ziewały wspólnie przystojne WAAFKI i krzywonodzy kawalerzyści, czeszy dyplomaci i polski korespondent wojenny. Lał deszcz. Około 4-ćj popołudniu odwołano loty, po pięciu godzinach czekania. Dopiero na drugi dzień dotarłem wreszcie do autobusu. A przecież ów autobus to jeszcze nie cel podróży, jeszcze nie jej początek nawet.

A jednak... przyszło to przewidziane uczucie jazdy w kierunku domu. Po blisko pięciu latach pobytu na Wyspach, oderwaniu nie tylko od Polski, lecz także od Europy, jechałem po raz pierwszy na uwolniony Kontynent. Myślałem czy bardzo mnie odurzy swoją żywotnością, swoim humorem, gustem, rozmaitością wrażeń, kolorowością ludzkich twarzy i ludzkich reakcji. Patrzyłem z okna autobusu na mijane domki, ciągnące się całymi milami. Uderzała szaryzna, jednakowość, brak polotu architekta, brak pomysowości, imaginacji, gustu. Niektóre były przystrojone flagami w nadziei niezawodnego dnia zwycięstwa w Europie. Na jednym zauważyłem wianuszek z brytyjskich flag, w środku którego rozciągnięto taśmę czarną ze złotym napisem „Welcome Home, John”. Zaleciało mi zapachem wędnących kwiatów na świeżym grobie,

Rewizja na lotnisku samym była bardzo łagodna i „gentleńska”. Właściwie ograniczyła się wyłącznie do pytań. Nic pozatym.

Samolot siedł równo i spokojnie. Pod nami płynęła nieskazitelna zieloność Anglii. Równo strzyżone trawniki, przecinane zagajnikami, pola golfowe, pastwiska. Zieloność przerywały plamy domów i osiedli. Jednak dominowała ona nad wszystkim innym, uderzała wzrok, przykuwała uwagę. Zrozumiałem dopiero właściwie wtedy, lecąc na Kontynent po latach mieszkania w Anglii, dlaczego angielskie trawniki i angielski kolor trawy, był zawsze nie-doścignionym ideałem dla warszawskich ogrodników. Nasytanie wilgocią i brak zabójczo palących promieni słońca tłumaczyły to zjawisko. Tym niemniej zieloność imponowała. Nawet mnie, lecącemu na Kontynent z nastawieniem znalezienia tam wszystkiego lepszego, bardziej swojskiego, domowego.

Wody Kanału wrzuciły w tę zieloność, którą przesiąkły źrenice, szarość potężnego żywiołu. Kanał la Manche! Gdyby nie ten skrawek wody, gdyby nie ten pas bezpieczeństwa, wojna musiałaby potoczyć się zgoła innymi torami! Na falach smugi dymu nielicznych statków. To już strefa operacji wojennych, tu już mogą być samoloty niemieckie. Jest wprawdzie 5 maja 1945-go roku, ale wszystko możliwe. Wyobraźnia pracuje.... A gdyby tak rzeczywiście? Przypominam sobie skoki ze spadochronem przed laty i mimowoli poprawiam pas.

Zwały chmur łapią samolot w swoje objęcia i zastaniają widok. Mój fotel zdaje się skakać, w gardle i żołądku robi się pustka. Co do jasnej, przecież nie dam się chorobie! Przed samym wyjazdem nalykałem się niezawodnych pigułek i mowy być nie może o ..... Cóż ten Amerykanin patrzy się na mnie z takim współczuciem... No nareszcie! Chmury pędzone jakąś niewidzialną mocą minęły samolot. Pewno wałą nad Anglię. To zrozumiałe! Tam przecież mają swe stałe mieszkanie, tam w permanencji zupełnej zaśnają dostęp słońca na ziemię, tam zimują i spędzają beztroskie lato!

Opieram się mocniej o poręcz i znowu patrzę w dół! Na litość — gdzie Kanał? Zamiast niego widać z wysokości tysiąca metrów jak na dłoni poorane bombami piaszczyste brzegi, pola, resztki czegoś co może kiedyś było miastem. Lej przy leju, wyrwa przy wyrwie. Nawet ruiny białe zostały w ziemię tak głęboko, iż przestały być ruinami.



Czy tu mogło kiedykolwiek być życie...? Czy mogło przetrwać piekło, którego ślady oglądane z wysoka przyprowadzają o wstrząs wewnętrzny?

W popłochu patrzę na zegarek. Co...? Siedem minut lotu? Tak, bez wątplenia. To nie przelot, to raczej przeskok. Jestem już w Europie. Podo mną płynie Kontynent. Pierwsze miasteczko ma rynek, na rynku strzelista wieża kościoła, od niej odbiegają nierównomiernie pokręcone i wąskie uliczki. Na polach widać pługi. To już? Czy Kanał w rzeczywistości jest aż tak wąski?

Samolot znowu idzie równo, spokojnie. Po skrzydłach płyną prędko małe strumyczki wody — skroplone chmury. Patrzę na to jakoś bardzo bezmyślnie i bardzo tępo. Co u licha? Pustka we wnętrzu robi się taka przeraźliwa, że mimowoli chwytam za torebkę papierową. Nie, bez paniki. Dochodzimy właśnie do jakiegoś wielkiego miasta. Tylko nie bardzo mam siłę spojrzeć która godzina. Ciekawym gdzie jesteśmy. „Brussels“ ryczy mi w ucho Amerykanin. Już? Tak... to dobrze. To dobrze, że jest torebka!!!

W minutę potem lądujemy w Brukseli. Mój amerykański sąsiad triumfuje. Był pewien, że to on będzie tym jedynym w całym samolocie. Zawsze tak było. To dzisiaj pierwszy raz, że go ktoś ubiegł. Tak się cieszy!

Tego wieczora cienkie wino francuskie podane we wspólnym hotelu „Palace“ w stolicy Belgii smakowało mi jak najstarszy Burgund. Rano byłem w domu w Anglii. Lunch jadłem w Londynie.

Kanał jest bardzo wąski. Zaledwie siedem minut lotu. A ile to znaczy!

## BREDA JUŻ NIE JEST POLSKA

Bruksela robi wrażenie. Chodziło mi zresztą o to, by zrobić, liczyłem na to. Chciałem widzieć inny sposób życia, zabawy, pracy, handlu. Zobaczyłem. Miasto zalane słońcem, którego promienie parzą o tyle mocniej, aniżeli te w Anglii, jest miastem kontynentalnym. Mówią o tym i dowodzą tego szerokie bulwary, obudowane kamienicami i willami, architektura których jest różnaita, wesoła, jasna. Przy-

pominają o tym fasady nowoczesnych sklepów i piękne wystawy — zrobione właściwie z niczego. Towaru bowiem jest niewiele. Krzyczą o tym głośno kolory butów, i sukien, elegancja subiektek sklepowych, dobra, w doskonałym guście. Dzwonią w ton europejski tramwajowe dzwonki w wagonach obwieszonych ludźmi z przodu i z tyłu, niczym warszawska dwunastka, waląca z Pragi do miasta poprzez most Poniatowskiego. Miasto, prócz tego jakoś inaczej pachnie. Tak, to może zabawne, lecz miasta pachną, mają swoistą woń, która może być miła i która może przyciągać. Może to pachnie rozgrzany słońcem majowym asfalt, może to kamienice obrośnięte bluszczem i kwiatami, może powietrze. W Brukseli ten zapach przyciąga. W Glasgowie na przykład odrzuca. Nie wiem, nie potrafię powiedzieć z czego pochodzi. Fakt, że go czuję. Tak samo jak czuję go zawsze, ilekroć przyjeżdżam do nowego miejsca, zwanego miastem. Za każdym razem, niezmiennie. Na środku Place de la Gare stragany. Na straganach owoce. Truskawki, brzoskwinie. Ceny ogromne. Targ jak za Żelazną Bramą. Obok kolorowy tłum cywilów, pomieszany z mundurami. Co raz to widać Polaków, co raz to Amerykanów. Kawiarnie schodzące tarasami ku ulicy wabią muzyką, rozpartymi w fotelach słomianych damami i krzykiem popisujących się błaznów. Dochodzę do jednej z nich, by poznać jeszcze inną stronę życia ulicy.

— Dzień dobry panu!

Oglądam się ze zdumieniem. Za mną stoi w ukłonie indywiduum jakieś wyglądające bardzo starozakonnie... Nie rozumiem jeszcze o co mu chodzi. Na początek pyta o zdrowie rodziny. Jeszcze nie pojmuje. Przecież nie znaliśmy się chyba przedtem...

Indywiduum wykazuje wyraźne zniecierpliwienie. Atak następuje bezzwłoczny:

— Co pan sprzeda? Może dolary, funty, złoto? Dobrze płacę.

Przypomina mi się odrazu seria ostrzeżeń londyńskich przyjaciół, którzy już przez Brukselę przeszli. Plaga handlarzy to jedna z gorszych przykrości tego pięknego miasta.

— Nic nie mam — odpowiadam szorstko.

Indywiduum nie wierzy.

— Nic pan nie ma? Może cokolwiek? Przecież pan musi żyć...?

— Tak, mam cokolwiek, herbatę — łagodnieję zlekka.

— Herbatę? Ile? Wagon, dwa?

— Nie, funt!

Pogarda, którą ujrzałem w oczach rodaka z Brukseli, nieda się odmalować, ani słowami, ani pędzlem mistrza. Ukłonił się sztywno i poszedł. Ja także.

W hotelu tego wieczora przeprowadziłem ze swym współlokatorem długą polityczną rozmowę o Polsce. Był bez nogi. Nie wiem, gdzie ją stracił. Był także młody i sympatyczny. A co najważniejsze, rozumiał sytuację. Może dał mu to pobyt na Kontynencie, otarcie się o nasz świat. To też była ulga — po Anglii.

Od rana odjazd. Jakimś cudem udaje mi się znaleźć majora z Dywizji, który przywiózł do stolicy lekarza-kobietę ze słynnego obozu kobiecego w Oberlangen. Major wraca z powrotem do Niemiec. Jestem rozpromieniony, bo zagadnienie przejazdu siedmuset kilometrów nie jest prostym do rozwiązania. Opieram się też dzielnie namowom lekarki by jechać do Paryża i tam zobaczyć świat... Jeszcze w momencie, gdy siedzę w naładowanym po brzegi jeep'ie kusi i namawia. Będzie tam Eisenhower i podpisanie zawieszenia broni... Co z pana za dziennikarz, co za korespondent! Jeep rusza, wytacza się powoli z tłumu innych wozów wojskowych zaparkowanych na rynku. Z daleka dochodzi mnie jeszcze epitet o moim rozsądku i mądrości. Tracę okazję... Ruszyłem.

Jeep to instrument cudowny, wbrew temu co mówią wojskowi. Rozumiem ich ból po siedzeniu w nim wiele godzin, rozumiem niechęć po jeździe w śnieżycę, pojmuję wściekłość w zimno i zawieję. Ja nim jechałem w upał. Dlatego był cudowny. Dawał poczucie pędu, zetknięcie z powietrzem, poddając jednocześnie skórę gorącym pieczętom słońca. Dawał przytem radość jazdy cywilowi zaśnieżdżonemu przy biurku. To tyle znaczy! Ćwiczenia w Szkocji, jazdy szkolne, strzelnice, to wszystko było dawno i bardzo nudne. Tu, poza faktem jazdy wzdłuż trasy Dywizji do Niemiec, poza faktem zbliżania się w tempie 60 mil na godzinę do granic Rzeszy, była jeszcze rozkosz wycieczki, przystanki i bezpośredniości. Dawał to tylko jeep. Żaden inny wóz na świecie tego by nie dał.

Autostrada do Antwerpii jest szeroka i doskonała. Nie widać zupełnie zniszczeń. Mijamy ludzi idących w różnych kierunkach, często z dobytkiem, załadowanym na plecy lub dziecinne wózki. Czasami trafia się rower. Są nawet wyjątki w samochodach. Poza tym ruch wyłącznie wojskowy. Domy różne, jasne, kolorowe na tle kwitnących kwiatów. Ciężkie drewniane żaluzje zapuszczone od pięknego słońca. Wzrok rozkoszuje

się różnolitością kształtów, dachów, tarasów, werand. Okna szerokie i widne. Jak w Polsce.

Mijamy jakiś obóz — major objaśnia mi, że to obóz koncentracyjny. Otoczony drutem kolczastym, strażnikami z bronią maszynową. Wygląda na zamieszkały. Pytam majora. Tak, to czynne miejsce odosobnienia. Tylko że siedzą tam kolaboracjoniści. Straż zaś trzymają patrioci. W głowie się mąci — kiedyż ludzie nareszcie skończą z koszmarem wzajemnych więzień, prześladowań, procesów? Przed tym Niemcy trzymali tam Belgów i Żydów, teraz Belgowie trzymają tam Belgów. Co będzie jutro? Podobno był to jeden z najcięższych obozów. Nazywa się Brendonck.

Kanały regularne, szerokie, zaludnione barkami, stanowiącymi cały dom dla załogi, sternika, jego żony, dzieci i zwierząt domowych, stają się coraz częstszym widokiem. Na brzegu jednego z nich widzę nagle wyłaniający się z bocznej ulicy oddział polski śpiewający „Piechotę” — ogarnia mnie wzruszenie. Major patrzy na mnie podejrzliwie i dziwnie. Kierowca jeszcze dziwniej. Dobrze, że nie mogę czytać ich myśli.

Wjazd do Antwerpii robi wrażenie. Ogromne nowoczesne budynki, biura z tysiącem okien i przestrzennych pokoi, szerokie ulice. Przejazd szybki, przez główne arterie miasta daje tylko rzut oka. Jeżeli jednak na tym opierać wrażenie całości, miasto jest nowoczesne i bardzo piękne. W kilka dni potem porównywałem je z Amsterdamem, którego nowoczesne dzielnice miałem możność zwiedzić dokładnie.

Antwerpia jest zniszczona, brak jej zupełnie szyb. Sądziłem, że jest zniszczona znacznie więcej. Na niej bowiem skoncentrował się atak latających bomb przez wiele tygodni.

Zabrakło nam benzyny. Wjeżdżamy do urzędzonej na środku szosy stacji, w której kilkadziesiąt wozów może jednocześnie brać paliwo. Krany stoją jedne przy drugich. Kierowcy sami je obsługują. Po napełnieniu baka podjeżdżamy do wyjścia, gdzie stoi jedyny człowiek obsługi stacji. Notuje ilość i numer wozu.

— Czy panowie już wiedzą — pyta?

— Nie, nic nie wiemy.

— Niemcy poprosili o zawieszenie broni. Przyjęli podanie bezwarunkowe.

W oczach Anglika widnieje prawdziwa radość.

— Pojadę może wreszcie do domu — dodaje — a co z wami?

Major nie kwapi się z odpowiedzią. Ja także nie.

— I am sorry — orientuje się nasz rozmówca zakłopotany.  
Jedziemy dalej.

Granica holenderska widoczna jest tylko na mapie. W terenie nie. Owszem, są ślady po posterunkach celnych, widać jakieś budynki. Mijamy je w tempie, nie zwracając najmniejszej uwagi. Dopiero pierwsze holenderskie miasteczko rzuca się w oczy, daje znać, że to już nie Belgia. Z gmachów zwisają chorągwie, kolory pomarańczowe panującego domu Oranie, dywany, kwiaty. Celebrują tu nie zawieszenie broni, lecz wyzwolenie stolicy i całej zachodniej i północnej części kraju. Dzieci chodzą z bębнами, starsi ubrani w narodowe stroje. Po bruku stukają drewniane chodaki. Zatrzymujący się jeep obskakuje momentalnie tłum chłopców proszących o jedzenie. Stykam się po raz pierwszy od Polski z głodnymi dziećmi... Rzucają się łapczywie na chleb, niemal biją się o puszkę sardynek. Odświeżające nastroje nie pozwalają jednak zapomnieć o zwykłym, ordynarnym uczuciu głodu.

Wieczorem jesteśmy w Bredzie, mieście słynnym z opowiadań, reportaży, filmów. Mieście zdobytym przez Polaków i przez Polaków ocalonym od zniszczenia. Jest ono ładne. Ma stare domy w ogrodach, dużo bogactwa właściwego Holandii, mnóstwo kwiatów. Ma także wąskie uliczki i stare budowle. Kanał, nieodzowny element holenderskiego krajobrazu, biegnie tuż pod oknami hotelu, w którym się zatrzymujemy. Wychodzę na miasto zaciekawiony, szukając śladów polskości, przekonany o jej tutaj żywotności, stałym istnieniu.

Doznaję zawodu. Breda już nie jest polska. Dywizja dawno odeszła, pamięć ludzka jest krótka. Udekorowane, rozśpiewane i radosne miasto nie myśli już o swych wybawicielach. Kolorów białoczerwonych prawie że niema. Natomiast pełno jest Union Jacków, srebrzy się od amerykańskich gwiazd. Po dłuższych poszukiwaniach znajduję przecież ów słynny napis, którym puszyły się polskie pisma w Wielkiej Brytanii — w oknie wystawowym jakiejś małej kawiarenki leży tekturka i na niej po polsku „Dziękujemy Wam Polacy“ — to wszystko.

Mija mnie właśnie pochód złożony z dużej liczby wyrostków walących w werble i małej ilości dorosłych dmuchających w trąby. Nie-trąbiący i nie-bębniący niosą długie sztandary na wysokich kijach. Cieszą się widocznie. Czyżby to tylko było wyzwoleniem zachodu, czy też może już naprawdę zawieszenie broni? Wiadomość garażysty jeszcze nie była przez nas przyjęta — na sto procent.



Znowu pochód. Tym razem tłum większy, śpiewający i niosący portrety królowej. Dużo młodych dziewcząt. Dużo także hałasu. Miałem okazję przekonać się z czasem, że Holendrzy mają zdecydowane upodobanie do obchodów i uroczystości.

Wróciłem do hotelu eksterytorialnego. Eksterytorialność jego polegała na tym, że był tylko dla wojskowych i że pełno w nim było jedzenia i picia. Powiedziałem majorowi o moich spostrzeżeniach w Bredzie, o rozczarowaniu, że miasto już przestało być polskie. Wzruszył tylko ramionami. To przecież zwykle, normalne. Nikt nie spodziewał się czego innego. Ja się spodziewałem...

O dziewiątej wieczorem słyszymy przez radio oficjalną wiadomość o zwycięstwie w Europie. Wojna jest skończona. Przy odbiorniku zebrał się tłum oficerów kilku narodowości. Panuje milczenie. Następnego dnia Victory Day na świecie. W Londynie przygotowania w pełni. Kilku Anglików westchnęło tęsknie.

Siedzimy z majorem przy stoliku tuż koło baru. Sala jest pełna. Ludzie zaczynają celebrować. Już jakiś Szkot w spódniczce wyje przeraźliwie „Loch Lomond“. Przez wielkie okna kawiarniane widać na ulicy rosnący tłum, pragnący okazać swe uczucia siedzącym żołnierzom. Major

zamawia szampana. Mówi, że trzeba się dostosować. Ostatecznie Bóg pozwolił przeżyć to wszystko. Już teraz nie będzie ryzyka.

Pod okna podchodzi orkiestra. Zaczynają grać hymn angielski. Oficerowie wstają, otwierają zamknięte na klucz szerokie drzwi zewnętrzne. Potem hymn holenderski, amerykański, francuski. Nastrój zaczyna się udzielać. W hotelu mieszka dwóch oficerów holenderskich przybyłych z Anglii. Wiedzeni impulsem zapraszają na kufel piwa dyrygenta i dwóch członków orkiestry. Wchodzącym na salę ściskają ręce Anglicy, klepie ich szerokim gestem wstawiony Szkot.

W tym momencie zjawia się na widowni gospodarz hotelu, oficer kasynowy, Anglik. Stanowczo i sucho każe zaproszonym gościom wyjść na ulicę. Tu tylko dla oficerów. Bardzo mu przykro, ale przepisy nie pozwalają. Piwo można im wynieść na zewnątrz. Goście wychodzą jak niepyszni. Na sali żaden głos nie podnosi się w ich obronie. Radość radością, ale przepisom musi się stać zadość. Major, który to wszystko obserwuje, wypija duszkiem zawartość swego kieliszka i szybko zamawia następną butelkę. Jest ponsowy. Oficerowie holenderscy, sprawcy mimowolni całego incydentu, także.

Dalsza część nocy schodzi brytyjskim celebantom na smutnym zawodzeniu nad niedopitymi szklankami. Kilku skacze przez ustawione fotele. Jeszcze inni poprostu śpią.

Przez okno obserwuję rodzinę złożoną z ojca, matki i dwóch dorosłych córek. Widać jak bardzo im dobrze, jak bardzo na ten dzień czekali. Roznosi ich śmiech i radość. Znikają mi z oczu spleceni wspólnym uściskiem. Szli do domu na nowe, pokojowe życie.

Za gardło ścisnęła mnie zazdrość.

## DROGA PROWADZI DO NIEMIEC

Ranny ból głowy był bodajże jedynym wspomnieniem celebracji. Trzeba przyznać, że zdrowo dawał się we znaki. Nie tylko mnie jednemu. Major wstaje raczej skwaszony, klnie na koło, które spokojnie sobie przez noc usiadło i kreśli czarne horoskopy jazdy z przygodami. Kierowca, który nocował w zaprzyjaźnionym z dawnych czasów domu ho-

lenderskim jest wyraźnie wyczerpany. Startujemy przed dziewiątą. Następny nasz etap to drugi rzut I Dywizji Pancernej. Siedzibą tego rzutu są Niemcy.

Wrażenia biegną barwnym kalejdoskopem kolorowego tła holenderskich sztandarów. Nie rozstajemy się z nimi już wcale aż do granicy. Otaczają one zarówno piękne budowle Tilburga, gdzie właśnie robotnicy przystępują energicznie do rozbierania wielkiego schronu przeciwlotniczego, jak i wyrwy i leje największego w tej części Kontynentu lotniska niemieckiego Gilzo. Biegają wzdłuż kanałów prostokątami, trójkątami, kwadratami, kładą się na polach, wydaje się, że nawet wbiegają w zagajniki i lasy, że przykrywają swymi barwami zieloność drzew i roślin, że cieszą się nie tylko duszą ludzką, lecz także instynktem każdego boskiego stworzenia. Pokój na ziemi ludziom dobrej woli! Jedziemy przez kraj, do którego zawitał pokój i to pokój zwycięski, przez kraj, który odzyskał wolność.

Nazwy miast są historią wojny. Hertogenbosh, gdzie spadochroniarze polscy walczyli o przeprawę na Renie, Nijmegen z popalonymi młynami. Kierunek prowadzi na Arnhem. Droga pełna pieszych, rowerzystów i ruchu wojskowych pojazdów. Dzieci w koszykach rowerowych skracają sobie czas drzemką. W ruchomym tłumie pojawia się nagle kolumna pieszych mężczyzn ubranych w szare drelichy, z pogolonymi głowami. To kolaboracjoniści. Mija ich ciężarówka udekorowana na chłodnicy wielkim portretem Hitlera. Przypomina mi się wrzesień i krzyże Virtuti przymocowane do łor niemieckich. Odwet... Czort wiedział, że tak właśnie będzie wyglądał.

Czym bliżej Arnhem, tym zniszczenie większe, gruntowniejsze. Widać ślady walki, bombardowań, artylerii. Domy stoją na jakichś resztach konstrukcyjnych, brak im połowy, czasami zostało tylko jedno okno i kawałek ściany. Wzdłuż drogi moczary. W moczarach trupy i miny. Nikt trupów nie sprząta, bo saperzy nie mają czasu rozładować min. Przytem pola te minowali i Niemcy i swoi. Trupy gniją i nieznośny odór dobija aż do drogi. Kierowca dodaje gazu. Wjeżdżamy do Arnhem.

Miasta chyba niema. Boję się przesady, ale to, co zobaczyłem wyglądało na pustynię raczej, niż na ludzkie osiedle. Dom przy domu, willa przy willi rozbite. Zgliszcza, ruiny. Ulice zawałone gruzami. Krążymy po byłym mieście, szukając wyjścia. Nie spotykamy nikogo. Dopiero na jakimś przedmieściu, widzimy kobietę z dzieckiem, kopiających grubym



drutem w resztkach dobytku. Znowu nieznośna natura nie daje spokoju i wspomnienia sięgają do Święto Krzyskiej ulicy, gdzie widziałem podobny obrazek. Ale Arnhem niema. Czy to możliwe, żeby Warszawy także...? Zawijam się w płaszcz i przestaję myśleć. To jednak nie takie łatwe. Trzebaby chyba zamknąć oczy.

Za Arnhem jakiś zwalony most i miasteczko Hengelo. Tu zniszczeń niewiele. Bogate, widne i pięknie umeblowane domy, są żywym świadectwem zamożności holenderskiej. Domki należą przeważnie do ludzi skromnych, farmerów, robotników rolnych. Poziom niewątpliwie wyższy niż w Anglii. Jakoby ustępuje jedynie krajom skandynawskim.

Droga pędzi milami i ucieka w tył. Wielkie tablice kierunkowe zmieniają jakoś wygląd. Z „Mapple Leaf“ wjeżdżamy na „Diamond“ — to nazwy tras wspaniale rozplanowanych. Prócz tego tablice wołają wielkimi literami o tym, że oto zaraz, za następnym zakretem, będzie już Rzesza Niemiecka. Zbliżasz się do kraju zdrady i obłudy — krzyczą czerwoną farbą! Wspomnij Coventry i Londyn! Bomby latające! Nie brataj się z Niemcami! Każdy z nich, to twój nieprzyjaciel! You are entering Germany!!!

Tak. Właśnie przejechaliśmy zwalony do rowu szlaban graniczny. Czuję się dziwnie. Pobite Niemcy, dzień zwycięstwa w Europie. Polska w sytuacji gorszej, niż była na początku wojny, a mnie losy rzuciły w polskim jeep'ie dywizyjnym akurat na ten moment, by jechać do polskiej Dywizji Pancerniej okupującej Niemcy w zonie brytyjskiej. Jakieś zwoje myśli przewalają się przez głowę. Nie ma na nie jednak czasu. To już jest Rzesza. Kłania się las sosnowy powolnym ruchem koron drzewnych, przez drogę przechodzi nieprzytomny ze strachu zając. Motocyklista kanadyjski wali za nim prawie do rowu. Naprzeciwko nas, wytacza się kolumna ciężarówek wojskowych ze znakami dywizyjnymi. To zaopatrywanie. Codziennie tak jeżdżą. Przypuszczam, że aż do Antwerpii. Majora nie pytam. To jednak prawie jeszcze wojna.

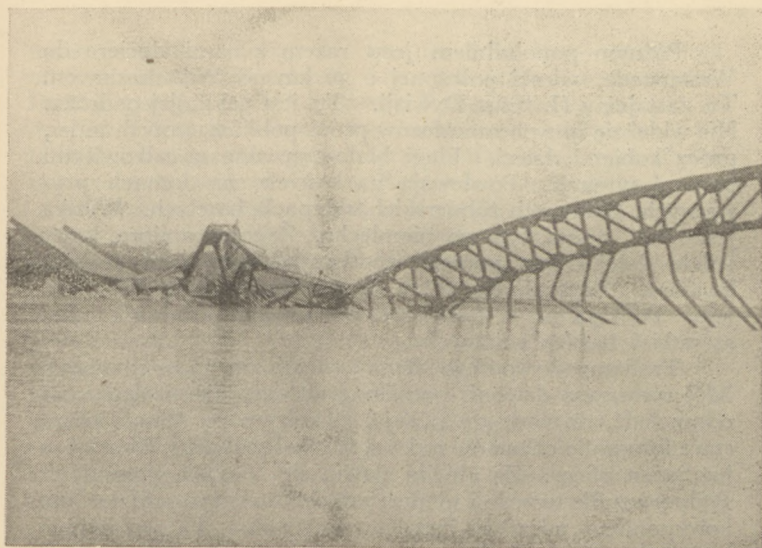
Zmienia się tło krajobrazu jak za naciśnięciem jakiegoś ukrytego guzika. Znika kolorowe tło flag, znika uśmiech z twarzy przechodnia. Zamiast tego zjawia się biała szmata, owinięta na niedbale zatkniętym patyku, szmata poddania i upokorzenia. Pojawia się ponure spojrzenie kobiet stojących przed progami domów, przymilne i usługne salutowanie niemieckich żołnierzy, służalcza gotowość pomocy mężczyzn. Z chat, domów, kościołów wyziera wojna. Gdzie

nie ma zniszczeń, widać nędzę. Gdzie brak i tego, widać ludzką rozpacz. W Lingen, pierwszym większym mieście, snują się jakieś szare i przygięte ku ziemi postacie. Przeważnie kobiety. Dużo dzieci. Policjant niemiecki reguluje ruch brytyjskich, polskich i kanadyjskich pojazdów. Sklepy zamknięte i puste. Mimowoli nasuwa się pytanie jak ci ludzie wogóle jeszcze żyją?

Nie byłem na to przygotowany. Dlatego uderzyło mnie, zatchnęło oddech, pozbawiło tchu. To jednak zbyt wiele wrażeń, za dużo narkotyków. Jeszcze w sobotę i w niedzielę Londyn, a we wtorek... Zobaczyłem polski odwet za wrzesień i za wszelką poniewierkę, za upokorzenia, za lata tułaczki, za prześladowania. Poprosiłem żeby na chwilę stanąć. Moi towarzysze, otrzaskani, starzy wyjadacze wojenni, weterani kampanii od Falaise począwszy, a na Wilhelmshaven skończywszy, nie rozumieli o co mi chodzi. A ja chciałem tylko popatrzeć, nasycić oczy widokiem o którym wtedy, we wrześniu, przy rozgrzanych piekącym słońcem starych francuskich czołgach broniących bezskutecznie dostępu do bram twierdzy brzeskiej, nie umiałem nawet marzyć.

Miasto nazywało się Aschendorf. Takie same jak inne, tak samo ponure, zniszczone, szare i dobité dniem zwycięstwa. Tak samo też białe od szmat zwanych flagami kapitulacji. Tylko na jednej wieży, na tej najwyższej i najbardziej strzeżonej, której widocznie kule się nie miały przeznaczając ją na ten tylko cel, na ten wyłącznie, nie było białego wstępu. Puszyl się na niej kolor czerwony i biały, kolor nasz własny. Sztandar Rzeczypospolitej przyniesiony został tutaj do Niemiec — do tego kraju zdrady, do tego siedliska reakcji, zafofania, do ojczyzny Hitlera i Bismarcka, Zakonu Krzyżackiego i Fryderyka Wielkiego — przez polskiego żołnierza. To był jego odwet. Za wszystko. Bowiem jego droga, która do Niemiec prowadziła, była daleka, żmudna, krwawa i trudna. Była drogą nie tylko żołnierza, ale także i wygnańca.

Jeep ruszył po chwili dalej. Poderwał się z miejsca wznosząc tumany kurzu. Poprzez ten tuman i poprzez setki tłoczących się wozów patrzałem wstecz na sztandar polski w Aschendorfie, jak na jakie wielkie i niespodziewane zjawisko.



## KOMENDANT MIASTA WILHELMHAVEN

Stoimy w ogonku czekając na przejazd przez drewniany most na rzece Ledzie. Za rzeką miasto Leer. Most bez specjalnego znaczenia — tylko oryginalność jego polega na tablicy ustawionej u jego wylotu. Napisano na niej, że był to ostatni most saperski wybudowany w czasie II. Wojny Światowej w Niemczech. Ukończono go o godzinie 07.45 5. maja 1945 roku obok; zwałony żelazny leży w wodzie. Kierowca opowiada o zdobywaniu Papenburga, miasteczka minionego niedawno. Skarży się na Kanadyjczyków.

— Szedłem na samym czele prawie — mówi — czołgi dobijały już do miasta, gdy Niemcy wycofali się. Dostaliśmy wiadomość i niemal, że w tym samym momencie niczym z pod ziemi znalazł się kanadyjski jeep z sierżantem i dwoma szeregowcami. Wpadli do płonącego jeszcze miasta przed pierwszym naszym czołgiem, rozbili wielki sklep jubilerski na głównej ulicy i tyleś ich widział! Taka gratka i diabli wzięli!

Major uśmiecha się pobłaźliwie.

— Już wy tam krzywdy nie macie — wtrąca cichym głosem — na fortunę to bym się z wami chętnie zamienił.

Późnym popołudniem jeep razem z nami dociera do Westerstede, wioski położonej o 36 km od Wilhelmshaven. Tu zastajemy II. Rzut Dywizji. Tu jest cel mojej podróży. Nie widzi się innych mundurów prócz polskich, innych ludzi, prócz kobiet i dzieci. Flagi biało-czerwone są całkowitymi panami sytuacji. Powiewają na kościele, na domach prywatnych, kwaterach żołnierskich, sklepach, hotelach. Wioska jest mała, czysta, typowo niemiecka. Żegnaj majora, który jedzie dalej i przy pomocy spotkanych przyjaciół szukam kwatery. Zapominam, że tu się nie szuka, tylko bierze co jest. Pomaga mi w tym nowo mianowany porucznik. Jest szorstki i bardzo stanowczy.

Trafiamy do sporego domku, urządzonego ze smakiem. Mój towarzysz dzwoni, poczem wchodzi, nie czekając na odpowiedź, do widnego pokoju, w którym na ścianie wiszą stare fotografie członków rodziny w pikelhaubach. Mieszka tu już jeden oficer. Za chwilę zjawia się Niemka, gospodyni. Podporucznik twardo i nieprzyjemnie oświadcza, że ten oto korespondent mieszkać będzie w tym domu. Za godzinę ma być łózko i pościel. Niemka patrzy na niego i na mnie i szybko, starając się zdążyć, zanim tamten wyjdzie, tłumaczy, że ona niema łózka i że nie ma pościeli i że ma sześcioro dzieci w domu. Jeżeli odda pościel, dzieci pójdą na podłogę.

— Niech pan zrozumie.

Podporucznik staje się jeszcze bardziej opryskliwy, jeszcze bardziej niegrzeczny. Nie, nie zrozumie. Mnie robi się bardzo głupio. Gdyby przynajmniej nie wymieniła dzieci. Cholera wzięła wszystkie zasady, zemsty, zapowiedzi o rżnięciu Niemców. Nie umiem! Nie umiem i absolutnie jestem na to za słaby! Odczuwam to w tej właśnie chwili mocno, niesłuchanie mocno, gdy stoję naprzeciwko nieznaney mi Niemki, błagając o względy dla swoich dzieci. Wychodzę za mym przewodnikiem i oświadczam mu, że w tym domu nie zamieszka. Jest na mnie wściekły. Ja także. Ale nic na to nie mogę poradzić. To znacznie silniejsze ode mnie. Gdybym przynajmniej sam nie miał takiego malca, to jeszcze. Tak nie jestem w stanie. Oficer żegna się ze mną po chwili, ale jakoś odnoszę wrażenie, że nie bardzo potępia mnie za moją decyzję. Nie pozwolił mi tylko zawiadomić Niemki. I kiedy po godzinie wróciłem. by powiedzieć, że już mieszkam gdzie indziej, zastałem przygotowane łózko z czyściutką pościelą i na prędcie zmontowaną umywalką.

Wędrując po Westerstede, zauważam znaki kanadyjskiego obozu prasowego. Idę w tym kierunku w nadziei

nadania kabła. Udaje mi się nie tylko to — przyjmują mnie z otwartymi rękami, jako jedyne go korespondenta. Dostaję pokój, jeep'a i kapitana Kanadyjczyka, jako Conducting Officer'a. Prócz tego możliwość kablowania, ile tylko dusza zapragnie. Jestem we wspaniałym humorze. Zaraz jutro pierwszy wyjazd w teren. Niedaleko — do Wilhelmshafen.

Przedtem jednak, trzeba zapłacić frycowe. Do nieprzyzwyczajonego żołądka wlewają znowu — drugi już wieczór z rzędu — morze alkoholu. W Bredzie, to był francuski szampan, tutaj jest zdobyczny, niemiecki „sznaps“. Mocny piekielnie. Kanadyjczycy bardzo szybko zaczynają śpiewać, przeplatając śpiew krwiożerczymi pogroźkami i planami eskapad karnych na Niemców. Przez ich kasyno przechodzi w pewnej chwili czterech polskich oficerów w mundurach wrześnieowych. Uwolnieni jeńcy. Mówią niewiele. Raczej pytają, jakie będą ich losy. Pokazują obozowe znaczki, mapy, fotografie, gazetki. Jeden jest bardzo młody. Przyjechał jakąś cudem zdobytą okazją z Lubeki, gdzie siedzi w obozie, i starał się dla siebie i swych przyjaciół o przydział do Dywizji. Nie dostał. Był gotów szukać drogi do Legii Cudzoziemskiej, byle tylko skończyć ze straszliwą beczynnością i jałowością obozowego życia. Miałem pierwsze zetknięcie się z Polakami z Niemiec. Pierwsze i bodaj, czy nie typowe. Wszystkie inne były podobne. Może tylko rozgoryczenie i brak cierpliwości u tego były silniejsze.

Jeep i kanadyjski kapitan, czekali na mnie punktualnie o umówionej godzinie. Znowu dzień był upalny, słoneczny, kontynentalny. Brakowało mi aż chwilami rozmów o pogodzie. Tam już nie było tego problemu. Natomiast mówiono o jedzeniu. Dwa jajka na śniadanie, szynka, kawa i chleb z masłem w kasynie oficerskim, stanowiły kontrast ogromny do czarnego chleba, z trudem zdobywanego przez miejscowych Niemców. Piszę o tym chlebie, ponieważ przypadał on także w udziale Polakom. I to często.

Wymijamy kolumny niemieckich lotników, bez broni, bez eskorty, idące w im tylko wiadomym kierunku. Maszerują czwórkami, jak dobrze zdyscyplinowane wojsko. Pierwsze czwórki patrzą prosto w obiektyw aparatu fotograficznego, jaki na nich nastawiam. Przechodzą potem bez słowa, jakby nic nie zauważyli. Jeszcze są bardzo dumni i pewni siebie. Mój Kanadyjczyk myśli o dobrym niemieckim Mauserze. Zajeżdżamy przeto do obozu pełnego Niemców. Natychmiast melduje się dowódca, niemiecki porucznik. Broń — tak, jest w szopie. Zaraz przyniesie klucze. Wy-



daje rozkazy. Pachnie nam ładnym łupem. Jesteśmy w środku kilkuset niemieckich żołnierzy, sami. Sytuacja raczej zabawna. Ktoś przynosi klucze, ktoś inny prowadzi do baraku. Już prawie mamy Mausera — pech nas prześladowa. W obozie jest polski wartownik. Jeden jedyny z jednym jedynym tommy-gunem. Zastawia nam drogę. Nie wolno. Właśnie przed godziną dostał rozkaz, dotychczas bowiem wszyscy przejeżdżający oficerowie dogadzali sobie pod tym względem. Broń musi pozostać nietknięta.

Kanadyjczyk jest zrozpaczony. Usiłuję go pocieszać. Nie starcza jednak czasu, bo uwagę zajmują wozy pełne cywilnych uchodźców — nad wozami powiewają flagi pół tuzina państw. Między innymi i polska. Podobnie jak nad obozami pracy przymusowej, które mijaliśmy po drodze. Kobiety, dzieci, jakieś kufry, walizeczki, wózki, cały posiadany dobytek.

Przed jeep'em wyrasta barykada. Na szynach kolejowych wagon towarowy pełen polnych kamieni. Urządzony w ten sposób, że trzymają go druty stalowe, które można rozluźnić z odległości kilkudziesięciu metrów. Wtedy wagon razem ze swą zawartością wali się na środek szosy. Nie zdążono jednak go użyć. Pozostał więc na skraju, grożąc bezsilnie przechodniom.

Już Wilhelmshaven. Wjeżdżamy z trudem, bo nawet pocziwy jeep nie daje rady skakać po wyrwach i dziurach. Po obu stronach coś co kiedyś było ulicą, teraz nie ma nic. Widok fantastyczny. W Arnheim szkielety domów stały, tutaj leżą. Nie widać przy wjeździe żadnych murów. Dopiero gdzieś w ogrodzie widnieje cały budynek. To Komenda Miasta Wilhelmshaven. Biało-czerwona chorągiew i napis po polsku i niemiecku. Wjeżdżamy do wnętrza. Żandarm wpuszcza nas do adjutantury. Adjutantów jest dwóch i dwóch Niemców, oficerów łącznikowych. Zadaniem ich jest utrzymanie kontaktu z żołnierzami niemieckimi, którzy zgłaszają się celem poddania się do niewoli. Obaj Niemcy to oficerowie, jeden kapitan marynarki, drugi porucznik armii, liczący nie więcej jak 25 lat. Kuleje.

— Herr Leutenant — melduje w momencie gdy wchodzi — delegacja austriackich żołnierzy do Herr Oberst.

— Czego chcą? — pyta polski porucznik.

— Proszą o oddzielenie ich z obozów jenieckich, w których są Reichsdeutsche. Mówią, że są przeciwnikami Hitlera i proszą o względy.

Zamiast odpowiedzi Niemiec słyszy wspólny wybuch śmiechu na wszystkich. Potem krótki rozkaz.

— Niech odmaszerują do obozu.

— Jawohl, Herr Leutenant.

Stuk obcasów i silny w tył zwrot.

Przyjmuje nas pułkownik Antoni Grudziński, polski Komendant Miasta Wilhelmshaven. Widać na nim zmęczenie pracą. Patrzą na niego trochę tak, jak patrzy się na ludzi robiących historię. Bądź co bądź tego jeszcze nie było.

— Panowie dziennikarze? Cóż wam mogę powiedzieć? Doszliśmy tu stosunkowo łatwo, jakkolwiek garnizon miasta wynosił 20 tysięcy ludzi. Było tu też dowództwo niemieckiej floty wojennej Morza Północnego. Silna radiostacja Altona. To wszystko. Teraz zajmujemy się zorganizowaniem przypożytego życia obozom polskim, których jest w rejonie Wilhelmshaven kilkanaście, skoszarowaniem Niemców chodzących jeszcze luzem, wykryciem kryjących się gestapowców. To razem wielkie zadanie.

Przerywa adjutant —

— Pani pułkowniku melduję, że kapitan niemiecki prosi o eskortę do bunkrów łodzi podwodnych. Są tam trzy czekające poddania. Nie ma kto ich eskortować. Prosi o jednego żołnierza.

Nie mogę się powstrzymać od okrzyku zdziwienia.

— Jednego żołnierza?

— A tak. Oni dbają tylko o formę. Sami nie przyjdą, bo to nie wypada, ale po usłyszeniu rozkazu poddania się zrobią to wobec każdego umundurowanego Alianta. Dać im pisarza od nas — zwraca się Grudziński do adjutanta — niech weźmie karabin i ich przyprowadzi.

Tłumaczę Kanadyjczykowi rozmowę. Wypada na chwilę ze swego stałego odrętwienia i uśmiecha się barbarwnie. Nic nie wiadomo co taki myśli.

— Jak wyglądała sama obrona miasta — pytam pułkownika — czy były walki?

— O tak. Brały w nich udział oddziały 16 Brygady Czołgów, 8 Batalion Krwawych Koszul, 10 Pułk Strzelców Konnych i oddziały przeciwpancerne. Wykrwawili się na kanale Kuestena i Elizabet-Fehn. Trafili na piechotę morską i spadochroniarzy. Gdy jednak przebili się na kierunek miasta postęp był stosunkowo nietrudny. Właściwie etapem otatnim była walka z dziurami i zerwanymi mostami. Niemcy wysadzili wszystkie, nawet kładki drogowe. Pierwsze nasze oddziały weszły do Wilhelmshaven 6 maja o godzinie 10,30 rano. Spotkali tłumy niemieckie płaszczące się w sposób ohydny. Na każdym kroku zresztą notowaliśmy takie zjawiska. Do dowódcy jednej kompanii 8 Baonu Krwawych Koszul zgłosił się burmistrz z pisemnym doniesieniem na jednego ze swych współobywateli określając go jako niebezpiecznego hitlerowca. Wniosek burmistrza szedł po linii odizolowania owego osobnika od innych. O, tutaj mają panowie tekst oryginalny.

Czytam list burmistrza jakiegoś małego miasteczka. Pisany gotykiem, na firmowym papierze, zaadresowany do „Polnischer Offizier”. Jako charakterystykę owego niebezpiecznego osobnika użyty zwrot „fanatyczny zwolennik narodowego socjalizmu”.

— To zresztą nie był sporadyczny wypadek — kontynuuje pułkownik — przyszedł do mnie żołnierz niemiecki wskazując miejsce ukrycia dużej ilości amunicji i broni. Jako nagrodę prosił o niebranie go do niewoli i pozwolenie powrotu do domu. Inny podoficer zatrzymał na szosie kolumnę polską, by ostrzec ją o zaminowaniu odcinka drogi. Takie rzeczy jednak w Polsce wrześniowej nigdy nie miały miejsca.

— Podśluchaliśmy także ciekawą rozmowę telefoniczną przed samym wejściem do miasta. Dyktowano meldunek do dowódcy portu Wilhelmshaven, w którym zawiadamia się



go, że miasto ma być okupowane przez polską Dywizję Pancerną. Każde poruszenie jest niebezpieczne. Wojsko winno złożyć broń, cywilna ludność nie ruszać się z domów. Spodziewać się można intensywnej pacyfikacji miasta, pod najbłahszym pretekstem. Bali się łajdaki. I mieli czego. Znaleźliśmy tutaj wiele polskich obrazów, mebli, lasek zakopiańskich, polskich map, kilimów. Nagrabili się zdrowo. To też nie byli zapewne zachwyceni naszym tutaj przybyciem.

Pułkownik wyraźnie czekał już na nasze wyjście. W adjutanturze obaj niemieccy łącznicy stali wyprostowani jak struny, gdy odprowadzał nas do drzwi. Na korytarzu kilku żołnierzy w mundurach piechoty morskiej zsalutowało nam służbiście. Przy bramie wartownicy obleżeni byli Polakami z okolicznych obozów. Wielkie czerwono-białe kokardy z daleka wskazywały na ich przynależność państwową. Mieli szerokie, wesole uśmiechy na twarzach i pełne dobrej woli i nadziei spojrzenia. Już przecież ich niedola skończona...

Dla uzupełnienia obrazu polskiej okupacji tej wielkiej bazy portowej niemieckiej, zajechaliśmy do koszar 8. Baonu Krwawych Koszul. Nie można było lepiej trafić! Zgodnie z wersją miejscowych oficerów (nie sprawdzaną — zastrzegam) baon zdobył pociąg — wódek! Że coś zdobył takiego to jasne. Nie wiadomo tylko, czy pociąg, czy po prostu piwnice baru hotelowego. Stół z trudem mieścił baterie butelek. Major, zastępujący dowódcę baonu, stary mój znajomy szkocki, pragnął całym sercem uczcić przybyszów. Kanadyjczyk, tradycyjnym polskim zwyczajem, uraczany był specjalnie.

— Tylko redaktor, jak coś napiszesz o nas złego, to nie ręczę za wynik — groził major.

Obiecywałem, że tylko najlepsze, błagając jak łaski zwolnienia od obowiązku picia. Siedzący koło mnie kapelan baonu pomagał mi w tej beznadziejnej walce. Na dole czekał przecież jeep, którym trzeba było jakoś dojechać z powrotem, którego ktoś musiał prowadzić.

— Wiesz co redaktor — monologował major — jutro u nas dancing. Dziewczynek co niemiara. Możesz wybierać — Polki, Angielki, Niemki — Niemki te dobre tylko — Bułgarki i nawet jedna Greczynka. Ale dla gości będzie najlepsza. Przyjedziecie? Mausery naszykuję nowiutkie, wody ile chcecie, szampana. Przyjedźcie redaktorze — zabelkotął przymilnym głosem pijaka.

— Przyjedziemy napewno — obiecałem — o ile tylko pozwolicie nam dzisiaj wyjechać.

— Kapitanie — dosyć picia — ryknął major — oni muszą wyjechać.

— Jeszcze tylko ta buteleczka — melduję posłusznie — odkrzyknął kapitan.

Ta „buteleczka” to był Pommare. Trudno odmówić, chociaż nogi bardzo ciężkie i niewyraźne. Udało mi się jednak wykręcić z wielu kolejek. Kanadyjczykowi nie.

— Grać będzie niemiecka orkiestra wojskowa dla nas do tańca — sepleniał zalany dowódca — sami się zgłosili, że mogą. Rozumiesz synku.

Rozumiałem. Rozumiałem także, że ostatni moment nadszedł na zlikwidowanie się spokojne z tego wesołego lokalu. Wstaliśmy od stołu.

Kanadyjczyk był smutno-spokojny przez cały czas biesiady. Nie odmawiał kieliszków podsuwanych szczodrze, nie wymigiwał się z kolejek. Tylko już potem nie mógł wstać. Smutny jeep z pogardą spoglądał na swego pana...

Wracałem do obozu z bezwładnym ciałem przerzuconym przez tylne siedzenie pocziwego rumaka. Kanadyjczyk spał snem dobrze zasłużonym spracowanego żołnierza. Przed jakąś Izbą Chorych, gdzie stanąłem na chwilę, spowodował niemal alarm lekarski — myślano że trupa wiozę. Przedfilowawszy z nim tak kilkadziesiąt kilometrów, ułożyłem cało i zdrowo biedaka na własnym łóżku w obozie. Następne dwanaście godzin spędził na gruntownym odpoczynku. Potem około dwóch godzin musiałem opowiadać wszelkie zdarzenia i fakty, które jakimś przedziwnym sposobem uciekły z pamięci mego towarzysza. Poznał polską gościnność.

Port i miasto Wilhelmshaven było w polskich rękach. To także był odwet. Już przestały robić na mnie wrażenie flagi, których było setki. Lecz kiedy opowiadano mi, jak polski Komendant Miasta zarządził udekorowanie ruin ulic polskimi kolorami na wysokich masztach wzdłuż całej trasy przejazdu generała Andersa, zrobiło mi się wesoło na duszy. To był odwet w dobrym, eleganckim stylu. Widziałem bowiem dekorację swastyk w Alejach Ujazdowskich — przejeżdżał wtedy nimi Adolf Hitler.

## GLÓD W AMSTERDAMIE

W poszukiwaniu materiałów dziennikarskich postanowiliśmy jechać do zachodniej Holandii. Myślimy o Hadze, Roterdamie i Amsterdamie, ale w rezultacie decydujemy się na ten ostatni jako najbliższy. Wyzwolony definitywnie zaledwie kilka dni wcześniej. Może być trochę ciekawostek i wrażeń.

Mój kanadyjski mruk zaczyna mi się rozchmurzać, uśmiechać, gadać o sobie. Ta wyprawa połączona z próbką polskiej gościnności rozbiła zdaje się lody między nami. Kanadyjczyk pochodzi z Quebecu, ma tam żonę i synka, którego zna tylko z fotografii. Już bowiem trzy lata jest w Europie — wliczając w to określenie i Wielką Brytanię. Na Kontynencie jeździ od wylądowania w czerwcu. Początkowo był komendantem pralni. Mówi o tym bez cienia zażenowania. Przeciwnie uważa, że to ciężka i niewdzięczna praca. A przytem upilnować mydło, pościel, bieliznę... To nie lada zadanie. Co tydzień znikało kilkaset funtów mydła. Opowiada o pracy pod ogniem, o braku jakiegokolwiek osłony w chwilach ciężkich walk. To wszystko w jego ustach wygląda jako proste i naturalne. Trzeba było widzieć wyraz pogardy na twarzach Polaków, gdy mówiłem im, że mój kanadyjec dowodził pralnią! Potem przeszedł do oddziału Public Relations i został oficerem towarzyszącym. Woził polskich, kanadyjskich, angielskich i amerykańskich korespondentów wojennych. Zjeździł Europę wzdłuż i wszerz. Ja byłem drugim jego Polakiem. Miał dosyć zwiedzania, wrażeń, wojny i wojska. Nie reagował prawie na nic. Był otrzaskany i z walką i z wydarzeniami poza frontowymi. Stąd robił wrażenie mruka. Był zdania, że dziennikarze powinni być zmieniani co kilka tygodni — przeciętna jednostka zatracą wrażliwość na wypadki dziejące się obok po upływie dwóch do trzech tygodni. Potem poprostu nie zauważa rzeczy, które nowoprzybyły wychwytyje natychmiast.

Trzymamy więc ze sobą sztamę, co bardzo mi dogadza. W ten sposób plany eskapad robimy wspólnie starając się wykorzystać krótki czas mego pobytu. Rennie — tak brzmiało jego nazwisko — nie oponował przeciwko najbardziej fantastycznym projektom. Prosił tylko, żeby mieć na względzie to, że przewidziany jest na Berlin wtedy, gdy tam nastąpi wielka defilada zwycięskich mocarstw. Chciałby mieć czas na to.

W przeddzień wyjazdu do Amsterdamu Rennie jeszcze odpoczywał po Wilhelmshaven. Ja siedziałem w szpetnym barze niemieckiego hoteliku, w którym mieścił się obóz prasowy, pisząc kable.

— Ręce do góry, ręce do góry — doszły mnie nagle krzyki z ulicy po polsku, angielsku i niemiecku.

Potem jakieś uderzenie, spazmatyczny krzyk kobiety i cały hałas przenoszący się do sionki hotelowej. Energiczne i nerwowe pukanie do drzwi.

— Wejść — ryczę spokojnie.

Do baru wpada starszawa Niemka błagalnym głosem wołając o pomoc.

— Mój syn! Mój syn! Niech pan oficer ratuje, on nic nie winien, nic!

Nie rozumiem o co chodzi. Wychodzę do przedsionka napół ciemnego i pytam stojących tam żołnierzy. To Kanadyjczycy. Mocno pod „gazem”. Coś mi tłumaczą. Między nimi stoi dwóch Niemców z rękami założonymi na głowę, pod pistoletem. Za chwilę zjawia się dowódca obozu w stanie podobnym do swych podkomendnych. Jeszcze nikt nie wie co właściwie się stało.

— Za co was aresztowano? — pytam młodego Niemca, najwidoczniej syna krzyczącej kobiety.

Odpowiada znakomitą angielszczyzną.

— Spaliliśmy już w domu, gdy ci żołnierze wdarli się do mieszkania i wyprowadzili nas wszystkich. Potrącili moją matkę! To ja sobie muszę wyprosić! To niesłychane, by kobiety tak traktować.

Czuję, że do głowy podchodzi mi fala krwi.

— Słuchaj ty — mówię przez zaciśnięte zęby — ty mi tu nie śmiej mówić o traktowaniu kobiet! Ja jestem Polakiem, rozumiesz?? Ja widziałem wasze traktowania, niemieckie, hitlerowskie.

Młodziak zmieszał się najwidoczniej.

— To SS robiło. Nigdy niemiecka Luftwaffe. A ja do niej należę — prostuje się dumnie.

Obok szpica stoi jego ojciec, obok mnie dowódca obozu. Krępuje mnie jego obecność, ale wszystko aż przewraca się we wnętrzu. Czuję, że jeszcze jedno słowo Niemca, a wyrnę naoslep w łeb, zęby, wszystko jedno gdzie. Muszę się jednak hamować. Wszystko zebrane wyładowuje mi się w jednym okrzyku, wydanym głosem, którego bym sam nie poznał jako swego:

— RAUS!

Wymiotło ich natychmiast. Uspakajam się poto by wreszcie zebrać ze strzępków opowiadań prawdziwy przebieg wypadków. Dwaj żołnierze kanadyjscy pokłócili się z żandarmami polskimi na tle „fraternizacji“. Przygadywali sobie Niemki. Odmówili rozkazu żandarma na służbie. Ten wyciągnął pistolet. Nie wiadomo jakby się zajęcie skończyło, bo Kanadyjczycy nie przebijają w środkach walki, ale nagle jednemu przyszła wspaniała myśl do głowy — niechaj ci Polacy jak już chcą kogoś aresztować aresztują Niemców. I z najbliższego domu wyprowadzili ową rodzinę z przebranyim lotnikiem na czele. Poczem wszyscy przywędrowali do nas.

Incydent zakończył się łagodnie dla Niemców, surowo dla mnie. Bo oto rankiem dnia następnego, gdy szykowałem się do wyjazdu w kierunku na Amsterdam, obsługa obozu i oficerowie patrzyli na mnie wyraźnie zezem. Niechęć do naszych żandarmów za zajście z poprzedniego wieczoru obróciła się ku mnie, jako jedynemu reprezentantowi polskiemu. Doszedł do tego nieznośny „kacenjamer“, który owładnął wszystkich, bez względu na szarżę.

Jeep był wyświeżony, umyty, miał dwie nowe opony. Ruszył też takim tempem, jakby chciał wykazać swą żywotność i młodość. Powiadali o nim, że powinien być iść na emeryturę dobrych kilka miesięcy temu.

Jedziemy przez Geoningen, Assen, Mappen, Zwolle i Armsfort. Na jakimś zakręcie zatrzymujemy się, by przepuścić kolumnę i rozmawiam z polskim chłopcem mieszkającym na niemieckiej farmie. Był na niej przez pięć lat wojny. Wywieźli go w 40 roku. Pyta co ma dalej robić, gdzie jechać, do jakiej władzy się meldować, by móc wstąpić do polskiego wojska. Jestem bezsilny w swych odpowiedziach. Radzę mu czekać, by nie tracić posiadanego kawałka chleba. Jest smutny. Na co czekać? Czy przyjdzie lepsze?

Zostawiam go na szosie i jestem pewien, że następnego spotkanego Polaka zaczepi o to samo i że będzie żył nadzieją, że wreszcie spotka jakiegoś co mu dobrze, prawdziwie poradzi. Oby!

Jedziemy przez Holandię tonącą w zieloności i bajecznych kolorach kwiatów. Po raz pierwszy w życiu widzę pola tulipanów. Szosy klinkierem wyłożone, znacznie wyższej klasy, aniżeli jakiegokolwiek inne europejskie, oprócz może autostrad niemieckich. Domy nowoczesne, o szerokich oknach i bardzo pięknych wnętrzach. Uderza bogactwo.

Uderza także gust i smak z jakim się buduje i budowlę urzęda.

Assen jest niewielką wioską. Zatrzymujemy się na farmie, gdzie przyjmuje nas cała rodzina, złożona z ojca, matki, dwóch synów i córki. Wyciągają wszystkie swoje skarby, zaoszczędzone przez czas okupacji — nawet biały cukier! Trudno im wytłomaczyć, że mamy tego pełno i że tym razem możemy obejść się bez. Trzeba pić ersatz kawy słodzonej i jeść jajka, którymi obficie szafują. Mówią o okupacji, jako o okresie złym, ale z tych krótkich opowiadań widzę, że to był raj w porównaniu do tego, co Niemcy robili na wschodzie europejskim. Z tej farmy, wydającej się małą, zabrali 48 krów. Prawie całe moje bydło — dodaje gospodarz. To znaczy, że ma jeszcze więcej. Chłop polski w jego skali, miałby zapewne krowę i konia, a może w najlepszym wypadku jeszcze i świnie. Jedno z tych zwierząt zapewne mieszkałoby wspólnie z ludźmi pod jednym dachem.

Zostawiamy im dużo konserw, papierosów i herbaty angielskiej, która wzbudza sensację. Potem fotografuję ich wszystkich przed ich domem i na tle flagi holenderskiej. Na pożegnanie precyzują holenderskie żądania terytorialne — Bremen i Hamburg. Śmieją się przytem bardzo wesoło i szeroko z tego doskonałego dowcipu.

Zaczyna być coraz bardziej zabawnie. Mijani ludzie zatrzymują się, kiwają, posyłają całusy. Holandia świeżo wyzwolona z pod okupacji niemieckiej! Bawi mnie to i wzrusza jednocześnie. Nie sposób już nadażyć odpowiadać na pozdrowienia, na powiewanie chustkami. Bramy triumfalne zaezynają nużyć. W Zwolle, mieście wybitnie pięknym, położonym wzdłuż kanału i szczytującym się posiadaniem starych zabytków architektonicznych, jeep zostaje obwieszony chmarą dzieciarni. Nie jest to jednak tylko objaw uczucia. Chodzi też o interes: malcy zdobywają jedzenie. Jeden z nich, blondas z pocerowanymi portkami, zachwala mi na migi, jakiś stary i nie chodzący zegarek. Wzamian chce, albo papierosów, albo herbaty. Dostaje tej ostatniej i zmyka zachwycony razem z zegarkiem.

Pachnie rozgrzanym, świerkowym lasem i rozpalonym ciepłem słonecznym — mchem. Jest też dużo piaszczystego podłoża. Lipiec w Polsce... Pomiedzy drzewami pokazują się od czasu do czasu ukryte domki. Są arcydziełem przytulności i ludzkiego domowego ciepła. Mają w sobie coś, co przyciąga nieodparcie. Widać też w nich pracę. Do

niektórych właściciele powrócili widocznie niedawno, bo wre robota przy czyszczeniu sprzątanii, wietrzeniu mebli.

Jest na całej tej drodze minimalnie zniszczeń. Raz tylko obserwujemy zalewy — woda zabrała pola, wioski, ludzi. Podobno wyżej w Holandii zalewów takich jest znacznie więcej. Tutaj notujemy to raczej jako widok wyjątkowy.

Jadąc tak przez ten kraj bardzo radosny i bardzo kolorowy, jesteście jednak odcięci od niego i od jego mieszkańców szybkością posuwania się, tempem i powierzchnością odbioru wrażeń. Widzimy tylko uśmiechnięte i wesołe twarze, ładne dziewczyny i rozbawiony tłum. Widzimy jednak twarz tego tłumy tylko w chwili, gdy go mijamy. Nie widzimy ani potem, ani przedtem, gdy tłum ten zostaje sam ze sobą. Znikają wtedy uśmiechy. Tłum bowiem jest głodny. Głodny głodem stałym, trwającym od miesięcy i mającym jeszcze trwać długo. W Holandii zachodniej jest głód.

Głód jest też w Amsterdamie. Tam się dopiero z nim stykamy bezpośrednio. Wjeżdżamy do miasta, jak zwycięzcy, jak wybawiciele, wśród tłumów wiwatujących ludzi, gotowych do wszelkich usług. Tam też stajemy. I schodząc z jepa automatycznie wchodzimy w tłum, obserwujemy jego od-ruchy. Tłum ten oczekuje od nas — chleba.

Nie znamy drogi i gubimy się w ulicach pięknego miasta. Imponują mi wielopiętrowe budynki nie mające nic podobnego pod względem nowoczesności w znanych mi wielkich stolicach europejskich. Niektóre gmachy wyglądają jakby były szklane, takie powierzchnie zajmują okna. Zajeżdżamy do Kwatery Głównej policji, prosząc o pomoc w znalezieniu noclegu. Nie ma tu jeszcze normalnego biura Komendanta Miasta, przydzielającego kwatery przyjezdnym. Policjanci telefonują do szeregu miejsc, poto by wreszcie wybrać „Krasnopolsky Hotel” w samym centrum miasta. Jedziemy z dwoma przedstawicielami władzy, co jeszcze bardziej przyciąga uwagę tłumy. Gdy stajemy, otacza on nas zwartym pierścieniem ciekawych twarzy i pożądlivych spojrzeń. Spojrzenia te tylko przelotnie spoczywają na naszych postaciach. Główna uwaga skoncentrowana jest na wnętrzu jepa. Co jest do jedzenia? A jak z papierosami?

Papieros jest w całej świeżo wyzwolonej Holandii monetą obiegową. Proponują zań wiele rzeczy, z punktu widzenia cudzoziemca zupełnie bezwartościowych. W pierwszym rządzie przedwojenne pieniądze holenderskie w srebrze. Poza tym wódkę. Czasami po prostu stare sprzęty. Gdy zaszedłem

do antykwariusza i zapytałem o cenę dwóch sztychów holenderskich z połowy dziewiętnastego wieku usłyszałem odpowiedź — 25 papierosów. Zapłaciłem tym chętniej, że nie palę. Kanadyjczyk, który nauczony doświadczeniem innych krajów wyzwolonych, zabrał kilka tysięcy papierosów, jest przeze mnie systematycznie ograbiany.

Przyjeżdżamy do hotelu, gdzie prócz nas już mieszkają inni korespondenci wojenni. Poza tym trochę Holenderów. Do jedzenia nie ma nic. Wyładowujemy więc nasze konserwy złożone z grochu, bigosu i corn-beafu i dajemy do kuchni. Policjanci, dwaj wysocy i bardzo przystojni chłopcy, słuchają naszych zamówień i zabierają się żegnać. Mrugam na Rennniego i zatrzymujemy ich na wspólnej kolacji.

Warto było popatrzeć jak jedli. Przestali rozmawiać, zwracając uwagę na cokolwiek innego, koncentrując się na talerzu. Pochylenie głowy, poruszające się w takt stuknięcia noży i widelców, wypieki na policzkach i pożądlive spojrzenia na półmiski, masło, ser. Zapasy nasze zniknęły w mgnieniu oka. Po skrętnym wyczyszczeniu talerzy obaj zgodnie przyznali, że po raz pierwszy od roku zjedli przyzwoite danie. Nam wydawało się ono bardzo zwyczajne i bardzo słabe.

— Cóż proszę panów — tłumaczy jeden z naszych gości — w Holandii są tylko kartofle i chleb. Oficjalnie racje wynoszą obecnie jedno kilo kartofli i 400 gramów chleba tygodniowo na osobę. To raczej nie wiele. Czarny rynek istnieje, ale tylko w zakresie tych dwóch produktów, ponieważ nic innego nie ma wogóle. To nie to co Belgia, gdzie w restauracji można wszystko dostać zapłaciwszy odpowiednią cenę. Na tym rynku te same kartofle kosztują 400 guldenów za kilo — około dziesięciu funtów po kursie czarno-gieldziarskim! Za papierosa płaci się trzy do czterech guldenów. To też ludzie wędrują z miasta na wieś po kilkaset kilometrów, by coś dostać. W rezultacie wsie okoliczne i nawet dalsze są zupełnie objedzone przez wędrujących mieszkańców miast i dzisiaj już i tam zagłada głód. Kobiety i dzieci umierają na drogach z wycieńczenia. Ale byli tacy, którym powodziło się dobrze — policjant się zaczyna — jednego z głównych kolaborantów złapano, gdy jadł świeże truskawki!

Muszę przyznać, że znacznie bardziej by mi przemówiło do mego oburzenia, gdybym się dowiedział, że jadł befsztyk z polędwicy. Ale truskawki...

Pijemy herbatę, co staje się następnym aktem celebrowanym z wielkim nabożeństwem przez obu umundurowanych



chłopaków. Uważają potem za swój obowiązek wywdzięczyć się nam za gościnę.

Proponuję wobec tego by zechcieli nas oprowadzić po mieście. Rennie jednak rezygnuje z tej przyjemności i maszeruje spać. Ruszamy więc we trzech. Dwie wysokie i zgrabne postacie policyjne eskortują mnie bardzo dobrze i stanowią dobrą ochronę. Gdy tylko zostaję sam choćby na jeden moment jestem tak otoczony ludźmi, że nie sposób się ruszyć. Proszą o papierosy, jedzenie, proponują pomoc, pytają, mają sto interesów. Zadowolony więc jestem z eskorty.

Słudzy państwa i urodzeni amsterdamczycy pragną pochwalić się przed cudzoziemcem najlepszymi stronami swego ojczystego miasta. Prowadzą mnie więc przez szerokie ulice ze śladami wielkich magazynów, wzdłuż bulwarów imponująco pięknie rozplanowanych. Proszę o dzielnice biedniejsze. Chciałbym też zobaczyć coś niecoś ze starej części miasta. Za chwilę znajdujemy się w zaułkach, przypominających prawie stare włoskie miasteczka. Przez te zaułki, prowadzące niezmiennie do kanału, dochodzimy do osobliwości Amsterdamu — dzielnicy chińskiej. Chińczyków tu bardzo wielu. Zapewne przyjechali do Holandii w poszukiwaniu rynku zbytu dla swoich towarów, znęcani bogactwem daleko-wschodnich posiadłości tego kraju. Stoją przed swymi domami i w przeciwstawieniu do białych nie okazują nam innego zainteresowania prócz bardzo przenikliwego wzroku. Tutaj ulice są wąskie, domy przykryte patyną czasu, niektóre w gruzach nie z powodu wojny, lecz po prostu wieku. I nie tylko dlatego — gdyż mieszkańcy w poszukiwaniu opału przez lata okupacji palili wszelkie dostępne im drewniane części budowli. Powodowało to katastrofy budowlane, śmierć i kalectwo ludzi. Pomimo jednak bardzo ostrych przepisów i wyraźnego niebezpieczeństwa nic nie było w stanie powstrzymać mieszkańców od szukania źródła ciepła.

Obserwuję zjawisko początkowo niewytłumaczalne — na szczycie takiego domu zupełnie zrujnowanego posuwają się okraciem dwie dziecinne sylwetki. Wysokość jest ponad trzy piętra. Drętwieję z przerażenia. Sylwetki zwisają chwilami nad pustymi ścianami domu, jakby na coś patrząc. Spoglądam pytająco na moich przewodników.

— Tak, to to samo — odpowiadają niemal jednocześnie — poszukiwanie paliwa. Rodzice wysyłają malców, dla których to wielka zabawa wspinanie się po niemal zupełnie gładkich ścianach i potem zjeżdżanie po rynnach ze zdobytymi drzazgami i skrawkami drzewa.



Podziwiam zręczność tych dzieci. Na widok policjantów sadzą okrakiem w kierunku najbliższej, im tylko dostrzegalnej, drogi odwrotu i śmigają na dół. Nie upłynęło pół minuty, jak widać było ich bose pięty na ulicy.

Wchodzimy na placyk, przypominający do złudzenia rynek małego polskiego miasteczka. Znowu jest temat do pisania, obiekt do fotografii. Na środku jezdni kłębowisko ludzkie wrywające sobie coś, co sądząc z resztek było jedzeniem. Uspakają się na nasz widok i natychmiast zamiast toczyć walkę o — jak się później dowiedziałem — ryżowy placek rzucony w tłum przez jakiegoś dowcipnego Chińczyka — zastygają w bezruchu i milczeniu na widok mego munduru. Słyszę głośny szepot: „policjant!” — napis „Poland” i towarzystwo moich przewodników sprzyja takiej opinii. Wyciągam z kieszeni cytrynę i wręczam pierwszej z brzegu dziewczynce, wyglądającej na lat dziesięć. Dostaje ataku radości. Tłum, cśmielony, otacza nas zwartym kręgiem. Pierwsi stoją chłopcy, których wzrost i wygląd zdradza lata niedożywiania. Pytam o wiek — 14, 15, 16 lat. Wyglądają najwyżej na dziewięć, niektórzy jeszcze mniej. Proszą o papierosy — dostawszy, natychmiast znikają w zakamarkach straszliwie nędznych domów.

Robi się późno. Proponuję powrót. Nalegają na zobaczenie stacji podziemnej armii holenderskiej. Przystaję. Prowadzą mnie nad jeszcze inny kanał, do domu, który na oko wygląda na siedemnasty wiek. Wchodzimy do piwnicy rozległej i bardzo widnej. Policjanci tłumaczą cel wizyty. Rozglądam się po pomieszczeniu — ma doskonale umeblowanie do pracy biurowej, telefony, radio. Za chwilę zjawia się stary kapitan, któremu młodszy oficer, prawdopodobnie porucznik, melduje o moim przyjeździe. Staruszek jest w swoim żywiole. Opowiada długo i wytrwale o walkach z Niemcami, przygotowaniach, organizacji podziemnej, stratach własnych i zdobyczych. Pod koniec okazuje się, że walki te trwały trzydzieści minut. Kapitan żałuje niezmiernie, ale niestety Niemcy zaraz po tem się poddali. Nie udało się dłużej.

Słuchałem trochę półuchem tego co opowiada stary, obserwując co się działo naokoło. Właśnie przyjechał kocioł — kolacja. Porucznik, który meldował przed chwilą, nakłada sobie wodnistą zupę i nieokraszone kartofle, żółtawego koloru. To wszystko i tylko dwa razy dziennie. Zanim jednak dotyka jedzenia pogrąża się na długą chwilę w modlitwie. Zamyka oczy, głowę opuszcza na wysokość stołu, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecnych. Potem żegna się i powoli, z nabożeństwem rozpoczyna jeść. Widać, że czekał na ten moment.

Z trudem udaje mi się wyrwać od kapitana, który pragnął jeszcze zaprowadzić mnie do archiwum i pokazać wiele ciekawych dokumentów. Policjanci tłumaczą, że czas mój jest ograniczony. Wreszcie ustępuje, ale widać, że zraziłem go do siebie.

Policjanci, dobrzy i kochani przewodnicy, żegnają się ze mną jak najlepsi przyjaciele. Proszą by im przysłać wycinki, gdyby także coś o nich ukazało się w druku.

W hotelu zastaję Rennie, popijającego z korespondentem „Daily Telegraph'u” i jeszcze jakimś drugim. Siedzą w towarzystwie kilku bardzo przystojnych sióstr Czerwonego Krzyża. Wszystkie znają angielski, rozmowa więc toczy się ożywiona. Cóż, kiedy jedna z nich w pewnej chwili słabnie z głodu. Oddajemy jej jakieś resztki niedojezonych zapasów.

W tym momencie ni stąd ni zowąd zaczęły grać karabiny maszynowe w bardzo bliskiej odległości. Obaj z dziennikarzem angielskim bieciami wylecieliśmy na ulicę. Strzały dochodziły z sąsiedniej przecznicy. Gdy doszliśmy do miejsca kordon policji zamykał dostęp. Odsunęliśmy ich na bok,

nie zważając na ostrzeżenia. Z kierunku kanału szły pojedyncze strzały i od czasu do czasu seria maszynowa. Zanim jednak zdołaliśmy dotrzeć do jakiegoś punktu obserwacyjnego zdołaliśmy się kilka głuchych detonacji artyleryjskich i zaraz potem wszystko umilkło. To czołg brytyjski zainterweniował czynnie przeciwko jakimś zwariowanym młodzikom niemieckim, którzy usiłowali się przebić z miasta na wolność. Mój angielski kolega zapytał flegmatycznie naszego informatora — a dokąd?

Miła, przymilna, zanadto może trochę, dziewczynka lat około 14-tu schwyciła mnie pod rękę w ciemnej ulicy, nie rozjaśnionej żadnym promykiem światła, powtarzając dwa wyrazy.

— Cigarette pour papa, cigarette pour papa!

Przyciskała przy tym znacząco moją rękę do siebie. Dałem jej kilka. Uszczęśliwiona odprowadziła mnie do samego hotelu.

Zasypiałem tego wieczoru z uczuciem wstydu, że nie jestem, tak jak oni wszyscy, głodny.

W starych domach są grube ściany, a grube ściany nie przepuszczają dźwięków. Korzystali z tego mieszkańcy Amsterdamu budując domowym pomysłem schowanka dla ludzi specjalnie zagrożonych przez Niemców, w dużej mierze dla Żydów. Zaprowadzono mnie do takiego domu, do którego wchodziło się wprost z ulicy po stromych bardzo schodach i którego wnętrze przypominało muzeum. Dom był rzeczywiście stary. Świadczyły o tym pułapy i korytarze, świadczyły wreszcie właśnie te metrowej grubości mury. Pokazano mi z dumą schowek. Zrobiony był naiwnie prosto, a jednak przez lata mieszkało w nim szereg ludzi, coraz to się zmieniających. W ubieralni stała szafa. W szafie tej, wmontowanej w ścianie, były wieszaki. Trzeci wieszak z rzędu był ruchomy; przekręcony otwierał całą tylną ścianę. Ale za tym jeszcze nie było nic — wyglądało to na schowek walizek. Dopiero ściana tego schowka, pozornie zupełnie gładka, prowadziła do ukrycia. Otwierała się jakimś magicznym naciśnięciem. Gdy ludzie byli w schowku, zaryglowywali się na sztabę stalową o podwójnym, ciężkim zamku.

Samo schowanie było maleńką kłitką, w której ustawiono sześć piętrowych łóżek. Przejęty właściciel mieszkania pan E. V. Outersterp, jegomość starszawy, doskonały znawca Europy, mówiący płynnie wielu językami, wskazał mi z dumą na fotografię, wiszącą nad jednym z łóżek.

— To holenderski mistrz bridge'a, K. Ph. Gomperts — nie słyszał pan nigdy o nim?

Ze wstydem musiałem przyznać, że nie słyszałem. Prosił, żeby koniecznie o tym napisać, że przez długie pięć lat okupacji p. Gomperts, chluba miasta, ukryty był właśnie u niego, w tym tutaj mieszkaniu na Princengracht 183. Obiecałem. Napiszę napewno. I przysię wycinek. Tak, z pewnością.

Wychodząc, spotykam pochód niemieckich jeńców w doskonalych humorach, z bronią. Jest między nimi kobieta, w marynarskim mundurze. Z zachowania i sposobu bycia wygląda na to, że celem jej pobytu wśród żołnierzy, było jedynie i wyłącznie uprzyjemnienie im życia.

Pochód Niemców mija się z niekończącymi się pochodami dzieci, idącymi we wszystkich możliwych kierunkach. Niosą sztandary, grają na trąbkach i piszczałkach. W południe ma być jakaś jeszcze jedna dziękczynna uroczystość z powodu wyzwolenia. Ostatecznie to dopiero piąty dzień bez Niemców, poddali się 6-go, a jest 11 maja. Z placu, na którym mieści się hotel, dochodzą odgłosy długiego i zapewne bardzo podniosłego przemówienia, jakie wygłasza jakiś dygnitarz miejscowy.

Nie jadłem śniadania, bo nasze zapasy się wyczerpały i zaczynało być niewyraźnie na duszy. Po staraniach dotarłem do miejscowego kasyna oficerskiego, otwartego przed dwoma dniami. Dostałem tam kilka kawałków chleba, wodnistą zupę i trochę grochu z puszki. Pod oknami kasyna głodne dzieci wyczekiwały na resztki. Było bardzo głupio i bardzo nieprzyjemnie.

— To, co pan widział w naszym mieście — powiedział mi na pożegnanie właściciel hotelu, wywodzący się od Polaka Krasnopolskiego, który hotel ten kupił i założył — to tylko ułamek prawdziwego jego oblicza. Pan przecież widział tylko tych, którzy mogą chodzić... Ta reszta jest w domach, leży, albo siedzi w najlepszym razie. I takich jest wiele dziesiątków tysięcy. Jeżeli Sprzymierzeni nie rozpoczną natychmiastowej, regularnej wysyłki żywności do nas, to ludność tej części Holandii zmniejszy się o połowę.

Po dwudniowym pobycie w Amsterdamie wiedziałem, że człowiek ten mówił prawdę.

## POLACY W NIEMCZECH

Podchodzę do tego przeogromnego problemu z wielką ostrożnością i obawą. Tak niezmiernie trudno jest wczuć się w sytuację ludzi innych, ludzi potrzebujących, ludzi w prawdziwym kłopotcie, nieszczęściu. Gdy po powrocie pisałem o tym dla prasy codziennej, robiłem to na świeżo, widziałem jeszcze twarze, słyszałem głosy, mówiące mi o wszystkim, proszące o poruszenia nieba i ziemi, by tylko pomóc, by tylko ulżyć doli po tylu latach, po tylu miesiącach! Dzisiaj patrzę na to wstecz, zdaleka. Z łamów prasy dochodzi tylko głos tych ludzi, podany z trzeciej ręki przejezdnych dziennikarzy. Targ polityczny toczy się o ich los i o ich szczęście. Plebiscyt, głosowanie, decyzja... A oni po takiej poniewierce i po takich razach muszą jeszcze dzisiaj decydować, muszą powiedzieć „tak“ lub „nie“, nie wiedząc, co jest „tak“ i co oznacza „nie“. Idą więc ślepo, zupełnie ślepo, na spotkanie swego losu. Powiadają, że przecież nie może być im gorzej... Wtedy, gdy oglądałem ich życie z bliska – wszystkich spotkanych – byłem tego samego zdania. Wydaje się, że do tamtych dni, doszedł tylko jeszcze czas. Nic więcej.

Tymczasem jednak wracam do swego Westerstedde z Holandii. Droga prowadzi przez Hilversum, które znane jest ze wszystkich możliwych odbiorników radiowych. Przed gmachami publicznymi stoją żołnierze w paradnych mundurach i białych getrach. Zato z wielu domów wyglądają Niemcy. Na jednym zauważam napis „Wehrmacht Kommandantur“, ślady niedawnego pobytu okupanta. Zatrzymujemy się w Zwelle na noc w małym domu policjanta. Procedura jedzeniowa powtarza się z tą tylko różnicą, że to jednak wieś i zaprowiantowanie jest bez porównania lepsze, aniżeli w miastach. Tym niemniej paczka herbaty jest przedmiotem powszechnego pożądania. Mały brzdąc czteroletni otwiera szeroko buzię na radosny okrzyk swej matki „Echte tea“.

12 maja jesteśmy już z powrotem w obozie prasowym. Jest to dzień owego wieczoru tanecznego w Wilhelmshaven, na który przecież obiecaliśmy przyjechać. Rennie bardzo się na to szykuje, chociaż tym razem obiecuje sobie, że wróci na trzeźwo.

Wieczór był bardzo nieudany. Nie było niemieckiej orkiestry, tak jak zapowiadano, ponieważ kapelmistrz, który sam uprzednio zgłosił się na ochotnika, przyszedł drugi raz

i zaproponował, by polski dowódca oddziału poprosił o zezwolenie niemieckiego pułkownika. Wyleciał na zbitą twarz. Nie było też nastroju. Zato było dużo przedstawicielek płci odmiennej i to rzeczywiście wielu narodowości.

Jedna z nich to była właśnie Polka. Polka z Niemiec. Wywieźli ją razem z całą rodziną w roku 1943-im. Matka, siostra i dwóch braci. Wszyscy w rejon Wilhelmshaven. Przetrwiała bombardowania, o których mówi ze zgrozą. Przysiadłem się do niej i powoli wyciągnąłem całą, prostą, nieskomplikowaną smutną historię.

Nazywa się Pechówna. Nazwisko dobrane do okoliczności. Ona, jako przeszkolona subiektka w aptece, dostaje przydział do lokalnego składu aptecznego. Matka i siostra poszły na służące. Obaj bracia do piekarni. Chlebodawcy Niemcy traktowali ich różnie, przeważnie z równomierną pogardą i lekceważeniem. Ale to jeszcze głupstwo. Najważniejszy to moment wyzwolenia. I to wyzwolenia przez polskie oddziały! Czy może być coś bardziej fantastycznego?

Przyszło to wyzwolenie i nie zmieniło się w życiu tych ludzi nic ani na jotę. Niemcy pozostali nadal chlebodawcami, chociaż przycichli wyraźnie i wyraźnie zmienili sposób bycia. Ale trzeba u nich mieszkać, trzeba im służyć, trzeba dla nich pracować. Pechówna, młoda dziewczyna, opowiada mi to wszystko prawie beznamyślnie. Wierzy, że przecież to dopiero początek, że musi wszystko obrócić się na dobre. Pochodzi z zachodnich ziem polskich. Liczy, że niedługo tam wróci, chociaż zupełnie nie wie, jakie tam panują warunki.

Na tle muzyki, wódki i zabawy rozmowa ta wydaje mi się jeszcze bardziej tragiczna, aniżeli jest nawet w rzeczywistości. Żegnam się, wywołuję zmartwionego tym Renniego i jedziemy. Po drodze błądzimy i w pewnej chwili trafiamy na rynek małego miasteczka, na ratuszu którego bije światłem stu świecowych żarówek polski orzeł. Widok niesamowity. Jest północ, cisza zupełna, nikogo. Tylko wartownik polski przechadza się wzdłuż kolumny samochodowej. A ten świetlny orzeł panuje bezapelacyjnie nad okolicą. Jesteśmy w sercu Niemiec.

Na kwaterze zastaję łóżko zajęte przez korespondenta francuskiego. Komendant obozu bardzo się tłumaczy — myślał, że nie wrócimy. Śpię więc w innym pokoju, ale wspomnienia po Francuzie nie dają mi potem spać przez wiele nocy, tak bestie gryzą.

Pierwszy regularny obóz Polaków w Niemczech zwiedzam 13 maja. Zajeżdżamy doń jadąc w kierunku Wilhelms-haven z naszego miejsca postoju. Stoi kilka długich baraków, po środku schron przeciwlotniczy, na którym wygrzewają się rozebrani ludzie. Nad bramą wielka bialo-czerwona chorągiew. Obóz nazywa się Middelstaehr. Na 154 mieszkańców ma 80 Polaków. Reszta to głównie Ukraińcy i Rosjanie. Mają być wywakuowani do Rosji w niedługim czasie.

Wchodzę do kancelarii nagrzonej do tego stopnia, że nie sposób oddychać. Stoi tam radio bardzo porządne, jest stół, kilka krzesel. Całość wygląda schludnie. Pytam o komendanta.

— Nie ma proszę pana — odpowiada mi młody, dwudziestokilkuletni chłopiec w kostiumie kąpielowym — zastępuje go p. Sowiński.

Przychodzi p. Sowiński, człowiek w średnim wieku, zażyły. Chętnie służy radą i informacjami.

— Obóz ten był obozem pracy przez cały czas — mówi — Sporo dróg, którymi pan tu jeździł to owoc naszej pracy. Robota była bardzo ciężka, Niemcy bezwzględni, nieprzyjemni. Nie znęcali się wprawdzie, ale miło z nimi to nie było. Wszyscy tu to ludzie z poznańskiego. Mamy też b. jeńców wojennych, którzy zwalniani byli z niewoli pod warunkiem podpisania deklaracji, że podejmą się każdej zleconej im pracy. Podpisywali, bo bezczynność więcej ich zabijała, niż jakiegokolwiek inne braki. I przychodzili do nas. Ja tu jestem jeden z najstarszych więźniów — ponad trzy lata tu siedzę.

Zbliża się do nas w tym momencie starszy pan, kulejący. Zagaja rozmowę, widać, że spragniony wieści. Moja rola polega jednak na wyciąganiu wiadomości. Pytam go więc o jego losy.

W odpowiedzi wyciąga książeczkę inwalidzką wystawioną jeszcze przed wojną.

— Mam 62 lata i jestem całkowitym inwalidą. Żona moja leży w baraku chora. Czy myśli pan, że wypłacą mi zaległe świadczenia? — zapytuje z niepokojem. Czy aby to nie przepadnie? Z czegoż jabył żył, jakby tak nie dali.

Zapewniam go, że napewno dadzą, jak tylko normalne władze administracyjne zaczną w Polsce funkcjonować. Uspakaja się i prowadzi mnie do swej żony.



Baraki mają łózka częściowo dwupiętrowe, a częściowo parterowe. Tam, gdzie leży jego żona, stara, schorowana kobieta, są dwie kondygnacje. Staruszka jęczy, skarżąc się na ból. Nie ma porządnej opieki lekarskiej, właściwego jedzenia. Stara jest prostą, wiejską babą, nieprzyzwyczajoną do wygod. A jednak to i na nią było za wiele. Rozmawiam z nią chwilę, ale widzę, że ją to męczy, że odpowiada niechętnie. Przechodzimy więc do sąsiedniego baraku, w którym mieszkają sami mężczyźni.

Siadam na pierwszym z brzegu łózku i rozpoczynam rozmowę. Jest ich w izbie pewno z dziesięciu. Prości polscy chłopcy z sumiastymi wąsami i twarzami opalonymi od słońca. Ręce mają grube, twarde, spracowane. Spojrzenia bystre.

— A jak z powrotem do Kraju? Co panowie o tym myślą? — rzucam pytanie.

Chwila milczenia.

— Ja tam nie jadę tak długo póki Ruski rządzi — odpowiada chłop z rudymi wiechami, wystającymi spiczasto z pod nosa — wolę tu siedzieć. Ja Ruskich znam, widziałem.

Posypały się potakiwania, szczerze, jednogłośnie. Ten barak ludzi mi zupełnie obcych, nie wiedzących co ja za jeden i czy nie jestem z tamtych, z „lubliniaków“, zamianifestował nagle przede mną swój szczerzy patriotyzm. Co bym dał za to, by w tym momencie mogli być w tej izbie ludzie, mieniący się być przewodcami chłopskimi! Co bym zato dał, by usłyszeli ów mimowoli spowodowany wybuch, ten wspaniały odruch zdrowego rozsądku ludzi czujących instynktownie kierunek, w którym należy iść.

Uścisnąłem im wszystkim na pożegnanie dłoń. Prosili tylko, by nie zapominać o nich — i zaraz, jak tylko będę wiedział, co z nimi będzie, pisać. Bo oni tak, jak tabaka w rogu! Odcięci od świata.

Przed barakiem czekał na mnie chłopiec, którego spotkałem na początku mej w obozie wizyty.

— Czy pan nie chce obejrzyć innych pomieszczeń? — zapytał.

Poszliśmy wzdłuż dwóch, czy trzech długich budynków barakowych. Rozpalone słońcem ściany wytwarzały wewnątrz niemożliwą duchotę, mieszkańcy wylegli więc na dwór. To już byli Ukraińcy. Przyglądali mi się trochę, jak ogląda się jakiś cyrkowy okaz.

— Tu mieszkają rodziny — powiedział chłopiec.

Rodziny z dziećmi. Jakiś zdobywczy na Niemcach wózek, stał w pełnym słońcu, a w nim obywatel cztero-mięsyczny. Urodził się w niewoli.

Dochodzimy powoli do jeepa i do samego Rennie. Chłopiec najwidoczniej chce coś jeszcze powiedzieć.

— Widzi pan — zaczyna nieśmiało — ja tak chciałbym coś zrobić. Ja tu dopiero niedawno. Tak kilka dni. Teraz ja nic nie robię, a tak trudno nic nie robić... Czy pan by nie pomógł, żebym ja tak do wojska się dostał? Ja sporo umiem — Niemcy mnie nauczyli!

Patrzę na niego pytająco.

— Tak, Niemcy. Półtora roku byłem w niemieckiej marynarce wojennej. Nauczyłem się gotować, sprzątać i fa-chu marynarskiego. Staliśmy w Cookshaven. Na noc szło się na rechę, bo takie były bombardowania portów, że nie sposób wytrzymać. Byłem na łodzi podwodnej. Uciekłem, gdy tylko dowiedziałem się, że Polacy dochodzą. Ale nie chcieli mnie wziąć. To przyszedłem do tego obozu i czekam co dalej..

Znowu sytuacja trudna, beznadziejna, okropna. Ludzie ci, jedni po drugich czepiają się nowoprzybyłych, czepiają się bywalców wolnego świata, by jakoś wyjaśnić swą przyszłość. A ja nic, zupełnie nic nie jestem w stanie im pomóc, nawet na dobrą sprawę nie potrafiłbym dać im rozsądnej rady, prócz zachęty do cierpliwości. Łatwo to takim nieskrępowanym w ruchach, wolnym, pewnym siebie ludziom radzić tym biedakom z obozów, by byli cierpliwi! Jak łatwo.

Chłopiec jednak wyglądała na pocieszonego. Na kilka dni ma o czym myśleć i ma jakąś nadzieję zmiany na lepsze. Obiecuję w każdym razie pomówić z oficerami z Dywizji.

Jedziemy z powrotem drogą okrężną przez port Wilhelms-haven. Na barkach leżą stopy torped do łodzi podwodnych. Widok ich przejmuje grozą. W pewnej chwili drogę zagradza nam porucznik marynarki niemieckiej, oświadczając, że nie przepuści nikogo, prócz ludzi z marynarki brytyjskiej. Jest nonszalancki. Stawiam go na baczność i ryczę z niego, jak ostatniego rzędu feldfebel. Skutkuje piorunująco, ale Rennie nie chce wjeżdżać. A może on naprawdę dostał taki rozkaz? Zawracamy. W oczach Niemca widzę przeblysł triumfu. Jestem raczej wściekły na łagodne serca naszych aliantów.

Następnego ranka, gdy stałem przed hotelem czekając na jeepa, podeszła do mnie jakaś bardzo nędznie ubrana dziewczyna o chłopskim wyglądzie. Zapytała cicho, czy je-

stem Polakiem. Odpowiedziałem, że tak. Wtedy jeszcze ciszej poprosiła o kawałek chleba. Jest głodna. Niemcy nic nie chcą dać. Nie ma żadnej władzy, do której można się zwrócić. Czy nie mógłbym jej pomóc?

Poszła do kantyny polskiej YMCA położonej o parę domów dalej. Ale coś zaczynało już nie to, że buntować się we mnie, ale wręcz bulgotać, gotować się, kipieć. Dzień po dniu przynosił te same problemy, te same spotkania tych nieszczęśliwych, głodnych, ubranych w łachmany Polaków w Niemczech. Czy to ma być WYZWOLENIE? Czy to może jakaś farsa piekielna, przez figiel złego losu tym słowem nazwana?

Wgramoliłem się do jeepa, który w między czasie podjechał. Następna wizyta w obozie Kobiet A. K. Co tam zobaczę? Jakie jeszcze gorzkie pigułki trzeba będzie przełknąć?Czemu jeszcze wysłuchać?

Na trasie docelowej prowadziłem długą i prawie, że jednostronną dysputę polityczną z Rennie. Sporo rozumiał. Resztę wyczuwał podświadomie. W konkluzji powiedział mocno i twardo, że ma dość Europy i że nigdy więcej jego noga tu nie postanie. Nie pozwoli także przyjechać tu swemu synowi na najbardziej piękną i idealistyczną wojnę. Nie ma poco walczyć, nie ma poco się krwawić.

Przyznałem mu rację.

## KOBIETY Z A. K.

Niech pan podwiezie kawałek! Tak, tylko kawałeczek, o, może do rogu — bardzo proszę — głosik był cienki, piskliwy, przymilny.

Do obozu kobiet Armii Krajowej było jeszcze sześć mil. Na jepee już miałem pięć dzielnych żołnierzyków z rozpuszczonymi włosami. Siedziałem przy kierownicy, luzując Renniego i bez ustanku musiałem dodawać gazu.

— Może jeszcze troszkę prędzej proszę pana — prosiła brunetka o wyglądzie pensjonarki z szóstej klasy — to przecież tak dobrze!

— Ja, tobym całe życie jeepem jeździła — odezwała się druga, w za dużym mundurze i kołnierzu zapiętym pod

szyję, tak jednak, że można było dwie dłonie z łatwością za ten kołnierz wepchnąć.

Śmiejemy się z Rennim serdecznie i walimy pełnym gazem w kierunku właściwego obozu. Przyjechaliśmy w kilka dni po przeniesieniu siedziby z Oberlagen do Niederlangen, dawnego obozu koncentracyjnego dla obywateli niemieckich. Warunki w nim były więc znośniejsze. Przede wszystkim łóżka są parterowe tylko, a to bardzo wielka ulga i zmiana na lepsze po miesiącach spania na piętrach. Ale materacy, czy nawet sienników brak w dalszym ciągu. Dziewczyny śpią na gołych deskach.

Nasze pasażerki coś wspominają o jakichś przepustkach, które powinny posiadać. Są takie, które proponują zejście z wozu wcześniej i przejście przez druty. Inne jednak nie są skłonne pozbawiać się przyjemności jazdy, nawet na kilka minut. Wobec tego cała gromada spokojnie jedzie dalej. Już widać bramę obozową, jakieś zabudowania i sztandar na maszcie. Zwalniamy nieco tempa wbrew energicznym protestom pasażerek. W bramie wjazdowej widzimy bowiem postać świetnego grubaska - dziewczyny z rozkrzyżowanymi ramionami, zagradzającą nam drogę. Karabin wisi jej przez ramię, zeslizgując się ku ziemi. Ma na głowie furazerkę, przekreśloną filuternie, z jakimś ullańskim proporczykiem.

— Koleżanki, proszę pokazać przepustki — krzyczy energicznie.

Stajemy nie bardzo pewni co robić. Granda wyładowuje się z jeeпа krzycząc i gestykułując.

— Jakie przepustki? Byłyśmy tylko za bramą! Od kiedy to potrzeba?

I podczas gdy jedna, ta właśnie, co to by jeeпом do końca życia jeździła, wzięła na siebie wyklócenie się z wartownikiem, reszta znikła w tłumie. Gruby wartownik dał za wygraną. Tym bardziej, że i my przybyliśmy na odsiecz pytając, o jakieś nikomu niepotrzebne informacje. Ostatnia nasza pasażerka ulotniła się szybko, dając do zrozumienia, przez łobuzerskie oko, jak bardzo jest nam wdzięczną.

Prowadzą nas do kancelarii, gdzie kilka bardzo przyjemnych pańienek siedzi przy stołach i coś skrobie na papierkach. Mam polecenia i listy z Londynu dla kilku dziewcząt w obozie, których nigdy przedtem na oczy nie widziałem. Przy okazji przeglądam całą listę obozową, szukając znajomych i krewnych. Uderza mnie przy nazwisku „Neuman Eugenia“ adnotacja - „zginęła dnia 15 kwietnia 1945 r.“ Czyżby tu były walki, czy też to wypadek? Okazuje się

potem, że padła ofiarą napadu niemieckiej bojówki, ukrytej w okolicznych lasach.

Czytając listę obserwuję bieg wypadków w pokoju zwanym kancelarią. Co chwila ktoś wchodzi — uwolnieni jeńcy wojenni — wrześnieowcy, oficerowie i żołnierze Armii Krajowej, cywilni, kobiety wywiezione na roboty. Ciągną do tego obozu ze wszystkich stron Rzeszy Niemieckiej poto, by odnaleźć bliskich, albo jakikolwiek ślad po nich. Nerwowo przerzucają podane im listy nazwisk. Od czasu do czasu wywołana przez łączniczkę dziewczyna wchodzi do kancelarii i znajduje się w obliczu brata, którego nie widziała od pięciu lat, albo męża, który uważany był za zaginionego. Rozgrywają się sceny pełne jakiegoś wielkiego patosu, otwierającego się bezmiaru ludzkiego szczęścia.

Wynajduję kilka nazwisk i proszę o wezwanie do kancelarii. Natychmiast łączniczka wyrusza na poszukiwania w barakach, świetlicy, kantine i całym ogromnym obszarze obozu, w skład którego wchodzi nawet jezioro z łódką wożącą gości i gospodarzy. Nie lada to zadanie znaleźć kogoś w takich labiryntach.

Skracam sobie czekanie idąc do kantyny. Przy prostych drewnianych stołach tłum ludzi — przeważają rzecz jasna kobiety, ale dużo też mundurów wrześnieowców i nawet drelichów z pasami na plecach „Kriegsgefangen“. Można dostać dobrej herbaty. Siadam przy stole i przyglądam się. Panuje tutaj, jak wszędzie na terenie całego obozu jakiś niefrasobliwy humor, dowcip, śmiech. Konstatuję fakt, że odzwyczaiłem się od tego, że odszedłem od takiego środowiska młodych polskich kobiet przez lata emigracji. O ile one wszystkie są pogodniejsze, niż ich rówieśniczki w Szkocji, czy w Londynie! O ile mają więcej temperamentu, niż cała młodzież emigracyjna razem wzięta. Pomimo przejścia Powstania, pomimo miesięcy niewoli, pomimo niepewnej, ciężkiej przyszłości.

Z przyległego przepierzenia, bo trudno to nazwać pokojem, dochodzą tony fortepianu. Ktoś gra walczyka. Natychmiast ruszają się drobne i niedrobne postacie w battle-dressach, regularnie o trzy numery za dużych, do tańca. Środek kantyny robi się salą dancingową. A mnie jakoś ckliwo na duszy — pachnie tu trochę Jastarnią w lecie i Kuźnicami w zimie. A wszystko razem to jednak jest takie polskie, takie własne i takie urocze, że chciałoby się zostać tutaj i nigdy już, nigdy nie potrzebować być emigrantem.

Ale obóz nie wygląda tego dnia tak, jak wygląda zwykle. Jest ruch ogromny, sprzątanie, szorowanie – i kapitan Danusia, zdaje się, że władza najwyższa i ostateczna, biega z miejsca na miejsce szykując swych podwładnych na wielki moment — popołudniu przyjeżdża Naczelny Wódz, generał Władysław Anders. Po raz pierwszy! Nikt jeszcze tu nie był, żaden przedstawiciel wojskowych władz, ani władz cywilnych z oficjalną wizytą. A tak im tego potrzeba! Tak bardzo czekają na uznanie ich praw kombatanckich, na które zasłużyły w Powstaniu Warszawskim i których się domagają. Nie żadne „pestki“, czy „ochotniczki“ — żołnierze! Takie same, a może i lepsze aniżeli mężczyźni! Jakby tak zliczyć kilometry przechołgane przez kanały ściekowe, jakby tak zliczyć przeniesione pod ogniem meldunki, zniszczone chołgi... Nie wiadomo czyje konto wyglądałoby lepiej — męskie czy kobiece! Nie ustąpią, nie dadzą wyrwać sobie zdobytych ciężko praw.

I jakie są twarde i nieprzejednane! W parę godzin później jestem świadkiem przyjazdu Andersa. Kompania honorowa ustawiona koło wartowni prezentuje broń. Karabiny idą na ramiona ospale i trudno, ręce przyzwyczajone do innej roboty i stawy do innego wysiłku, wykonują chwyt broń zabawnie. Generał przechodzi przed frontem, za nim sztab wyższych dowódców.

— Czołem ochotniczki!

Kompania stoi w milczeniu. Ani jeden głos w odpowiedzi. Generał uśmiechnął się i poszedł dalej. Zapewne wziął to za objaw braku znajomości musztry. Tymczasem powód był zupełnie inny. Na przywitanie „Czołem żołnierze“ miałby odpowiedź pełną, głośną, żołnierską. Ale na „ochotniczki“...

W kancelarii już czeka na mnie zastęp odbiorczyń przywiezionych listów. Rozdają korespondencję, umawiając się z jedną z dziewcząt, młodziutką Marysią G. na późniejsze spotkanie. Przed tym jeszcze korzystam z zaproszenia zespołu kancelaryjnego i razem z Renniem idziemy do pokoju obok, gdzie czeka masa znakomych kanapek i ciepła herbata.

Odnajdujemy wspólnych znajomych w Polsce, w Warszawie. Rozmowa schodzi na Powstanie, warunki życia w Kraju, losy ich i nasze. Jest między nimi matka i córka, obie w mundurach, obie z bogatą przeszłością bojową. Rozgadały się, rozpowiadały, zapomniały o obecności obcych

ludzi, o tym, że Kanadyjczyk wymaga tłumaczenia, a ja — objaśnień. Rozmowa zamienia się we wspomnienia wspólnych przeżyć.

— Pamiętasz Haniu — przypomina jedna z nich, trzydziestokilkuletnia szpakowata pani — naszą drogę z Żoliborza? Dostałaś wtedy zadanie przeniesienia meldunku na Mokotów, bodaj czy nie na Grażyny... Poszłam z tobą, nie wiedząc właściwie dlaczego. Dwanaście godzin kanałami! Chyba nigdy tego nie zapomnę! I przy każdym wylocie, przy każdym otworze ściekowym Niemiec z granatami ręcznymi. Straszliwy smród, człowiek oblepiony nieczystościami. Przeszliśmy jednak... Pan Bóg wie tylko jakim sposobem, jakeśmy to przetrwały... Tyle łączniczek nie wyszło już nigdy stamtąd. Pamiętasz potem jaka to rozkosz było umyć się, przebrać, jakoś normalniej się czuć?

Hania przytakiwała milcząco.

— Gmach P. K. O. — kontynuowała tamta — byłam tam wtedy jak bomba wpadła przez otwór od windy do samych podziemi. 57 osób zabiło na miejscu. Cały sztab tam rezydował. Pełczyńskiego rzuciło na ziemię zdrowo. Bór także oberwał.

Hania przyłączyła się do wspomnień.

— Tak, ogień i „krowy latające“ i artyleria to wszystko dało dobrą szkołę. Ale z drugiej strony człowiek był po raz pierwszy wolny, zupełnie wolny! Jak chyba nigdy przedtem i nigdy potem. Pamiętacie moment kiedy OTWARCIE czytało się gazetę? Przecież to uczucie nie do opisania. Po pięciu latach konspiracji — jawność! Po schowankach, melinach, piwnicach — siedzenie na skraju chodnika z rozłożoną płachtą papieru!

— Ja to się nie mogłam napatrzeć tym biedakom, co tak do schronów na każdą noc i na każdy alarm latali — wtrąciła milcząca dotychczas korpulentna brunetka — co za różnica, jeżeli trafi dom? Miałam takiego staruszka znajomego w kamienicy obok. Ganiał do piwnicy po pięć razy dziennie. Tłumaczyłam mu długo i przystępnie, że to chyba lepiej zginąć na drugim piętrze, jak być zasypanym i powoli się męczyć. Toż nikt nie miał czasu na odkopywanie! Wreszcie dał się przekonać. No i rzeczywiście zabiło go zaraz potem na tym drugim piętrze...

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem. Już humor górwać począł nad wspomnieniami, już uśmiech zatriumfował nad rzewnością myśli. Przez okno dojrzeliśmy maszerujących ośmiu drabów pod eskortą jednej dziewczynki, wzrostu

metr pięćdziesiąt, z karabinem przez plecy. Robotnicy niemieccy pracujący w obozie. Posypały się dowcipy, żarty. Nastrój warszawski minął. Właściwie nie, to niecisłe. Wrócił ten stary, przedwojenny, nastrój Warszawy radosnej i pogodnej, Warszawy młodej.

Znowu było mi bardzo niefrasobliwie. Tylko biedny Rennie nudził się jak mops.

Marysia, z którą mam randkę, ma lat siedemnaście. W Polsce przeszła przez konspiracyjne nauczanie, przeszła także przez A. K. Jest typem ideowej, doskonałej i rozumnej młodej Polki. Rozmawia przytem tak poważnie i rozsądnie, że chwilami zapomina się o jej wieku i dziecinności.

Opowiada o wzięciu do niewoli, o drodze, towarzysztwie, zachowaniu się Niemców.

— Na ulicach miasteczek dzieci niemieckie rzucały na nas kamieniami. W samym obozie traktowali nas znośnie, a Niemki - strażniczki bardzo się przejmowały częstym przechodzeniem na świat obywateli polskich... Nie pamiętam już ile tego się urodziło, ale conajmniej kilkoro przez miesiące niewoli. Był jeden Niemiec, gruby, oblesny, który był brutalny. Uderzył raz jedną z naszych koleżanek w twarz... Zginął natychmiast po uwolnieniu obozu. Zakopali go gdzieś tutaj — wskazuje okolice budki strażniczej ustawionej na wysokich drewnianych rusztowaniach — już ma grób zadeptany. porośnięty trawą. Ale to już przeszłość, przeszłość nieważna! Niech pan nam teraz coś powie, jakie są co do nas zamiary? Gdzie nas wyślą? Co z nami zrobią?

Jakoś nie zbierało mi się na odpowiadanie.

— Taka tu nuda — widzi pan — nie ma nic do roboty przez cały Boży dzień. No niech pan tylko pomyśli — w konspiracji byliśmy zajęte od rana do nocy — nauką, roznoszeniem meldunków, pracą dla gazetek, radia. Przy tym wisiało nad człowiekiem stałe niebezpieczeństwo, które dawało ogromne napięcie nerwowe. O Powstaniu nie mówię, bo to rozdział specjalny. Potem niewola, podczas której kombinowało się jak uciec, względnie jak przetrzymać. Nie było swobody ruchów, ale umysł zajęty był bez przerwy kombinowaniem, planowaniem. Chwilami było nudno i mętnie, ale to tylko chwilami. A dzisiaj? Jesteśmy nominalnie wolne, ale czas dłuży się niemiłosiernie! Zaczynają dziewczęta robić głupstwa, wyjeżdżać z obozu na szereg dni, z obcymi zupełnie ludźmi. Rezultaty są oplakane — władze obozowe muszą przecież jakoś utrzymać dyscyplinę. Poszła grupa takich „dezertersów“ na dwadzieścia osiem dni do



aresztu. Jedna popełniła samobójstwo pierwszej nocy. To przecież okropne...

— Przy tym tu mamy różny element w obozie — kontynuowała mała Marysia — żołnierzy A. K. wcale nie jest większość... Wiele kobiet dołączyło do nas, by uniknąć ewakuacji. Stąd różne tu sfery, różne obyczaje... Ale poto by zaradzić złemu powinniście wy z Anglii, stworzyć nam inne warunki, lepsze możliwości. Chcę się uczyć angielskiego — nie ma żadnych podręczników, niczego! Przyślijcie je, dajcie możliwość drukowania na miejscu! To takie ważne, by nie marnować dalszych miesięcy, a może lat! A jak będzie z rozładowaniem obozu? To pałace zagadnienie! Żadne kary nie pomogą, żadna dyscyplina! Podobno kompania szkolna ma iść do Szkocji — jeżeli to prawda to natychmiast się tam zapiszę. Nie wie pan?

Znowu nic nie wiem. Już nie wiadomo po raz który z rzędu.

— To wielka szkoda — konkluduje smutnie Marysia — powinien ktoś tu do nas przyjechać, nieco oświecić, dać jakieś wskazówki na przyszłość. Nie można tak przecież zostawiać ludzi bez żadnych wytycznych, bez żadnego oparcia.

W głosie jej brzmi szczerą troską. Widać, że ta dziewczynka, właściwie jeszcze dziecko, czuje się w obowiązku dbania nie tylko o siebie, ale także i o inne swoje koleżanki, które nie zdolne są myśleć dosyć poważnie, dosyć poważnie troszczyć się o swój własny los.

— Powinno się uruchomić tu porządne kursy językowe, zorganizować szkoły, przedszkola, kursy fachowe. Przeciętny poziom wykształcenia jest bowiem bardzo niski — zakończyła swe uwagi poważna, stateczna i bardzo dorosła Marysia.

Zabrałem ze sobą do Anglii te wszystkie uwagi, spostrzeżenia, troski. Przekazałem je ludziom mogącym pomóc. Nie zdążyli. Dziś prawdopodobnie i Marysia i Jasna, moja druga przyjaciółka stamtąd, głosowały za lub przeciw powrotowi do Polski. I nie zdziwiłbym się, gdybym usłyszał, że wiele z nich, bardzo wiele, powraca. Pomimo groźb lubelskich, pomimo odsądzania ich od czci i wiary za walkę w Warszawie, za udział w Powstaniu, za poświęcenie bez granic i za zmarnowane najlepsze lata dzieciństwa i młodości. Bo życie w obozie w permanencji jest koszmarnie trudne.

Wróciłem do obozu Niederlangen jeszcze raz następnego dnia. Było to Zofii, piętnastego maja i wielki, pierwszy prawdziwy bal. W świetlicy, dawnym domu partyjnym nie-



mieckiej partii narodowo-socjalistycznej, przy dźwiękach orkiestry 1. Pułku Artylerii Motorowej, tańczyli Polacy ze wszystkich stron Niemiec — żołnierze z Dywizji i z niewoli i ludzie z obozów koncentracyjnych i uciekinierzy z więzień i robotnicy rolni. Na sali był tłum zbity, poruszający się w takt znakomitej orkiestry. Potem do baraków długo odprowadzani byli przystojni żołnierze w za dużych battle-dressach przez różnobarwny tłum ludzi dopiero od niedawna wolnych.

Jasna, z którą tańczyłem najwięcej, przypominała mi do złudzenia flirt sztubacki z Kolonii Staszycy. Miała takie same jasne włosy, tyle samo niezawodnej kokieterii i przy tym tak samo udawała, że nic ją na świecie nie obchodzi i nic nie zaimponuje. Miała już dwadzieścia lat i patrzyła na otaczających ją ludzi z wysoka i z dystansu doświadczonej kobiety!

Po raz pierwszy w życiu poczułem się na tym dancingu starszym panem! Różnica dwunastu lat pomiędzy mną, a moją partnerką i nieumiejętność używania starych, wypróbowanych, sztubackich metod napawały mnie smutkiem i melancholią.

Ale obóz kobiet z A. K. w Niederlangen pozostanie w pamięci mojej zawsze jako kawałek Polski. Może ostatni, jaki w życiu widziałem. O ile po raz ostatni w życiu byłem na wolnym Kontynencie europejskim.

## LESZEK Z OBOZU SANDBOSTEL

Mieszkał na czystej, schludnej farmie niemieckiej. Miał pokój z całkowitą obsługą Niemki, do której przyszedł z ulicy, zażądał mieszkania i bez słowa protestu je dostał. Farma położona była właściwie na kompletnym bezludziu. Najbliższe osiedle o kilka mil. Ale jako miejsce chwilowego przetrwania i ukrycia doskonałe. Bo Leszek wyrwał z obozu Sandbostel, ponurego miejsca koło Bremenwörke. Znam tego Leszka jeszcze z dawnych opowiadań londyńskich. Wiem, że w konspiracji przybrał sobie imię Wasyla. Wiem także, że o dzielności jego i odwadze krążyły legendy wśród żołnierzy A. K. Poznają go zupełnie przypadkowo poprzedniego dnia w baraku obozu kobiecego i natychmiast nawiązują kontakt.

Leszek jest wymizerowany i potrzebujący wypoczynku. Jest chudy i ma twarz bardzo zmęczonego człowieka. Przypuszczam, że nie przekroczył jeszcze 27 lat życia. Potąkuje, to prawda. Akurat 27. Ale przez ten czas Gestapo zdążyło dać mu dobry wycisk...

— Aresztowali we Lwowie. O tu są ślady wizyty mojej u nich.

Ściąga spodnie i pokazuje straszne blizny, głębokie, czerwone jeszcze; cały pośladek jest właściwie jedną głęboką, zabliznioną raną. Musiał być bity żelazem i rzemieniami.

Uśmiecha się gdy o tym wspomina. To już minęło. Jest w tej chwili pełen nowych planów, pełen zapału i złudzeń co do możliwości planowanych przez niego przedsięwzięć. Aż mi się go żal robi, aż chciałoby się powiedzieć — za późno Leszku! Usta jednak nie wymawiają tego co myśli głowa. Za duży to może byłby cios, za wielkie rozczarowanie.

Niemka przynosi doskonałą kawę do czysto nakrytego stołu. Zauważam, że Leszek jest dla niej grzeczny i uprzejmy. Mimowoli pytam go, czy po tym wszystkim co przeszedł jest w stanie zdobyć się na ludzkie słowo w stosunku do Niemców.

— Nie mogę się zdobyć na inne — odpowiada ten mizerny chłopiec — to jakieś dziwne uczucie, ale nie sposób jest być grubiańskim i ordynarnym dla kogoś, w czym domu się mieszka i żyje — bądź co bądź nie dając wzajemian nie! Dlatego stosunki moje z gospodynią są zupełnie poprawne.

Pijemy w milczeniu kawę. Pierwszy atak przypuszcza Leszek —

— Jak pan wróci do Londynu to proszę powiedzieć o mnie i Jerzemu L. i Andrzejowi P. Oni mnie znają, wiedzą o mnie... Janek N. też pomoże. Napewno. Ja nie tylko muszę tam do Anglii dojechać, ale także powinienem natchmiast dostać zadanie specjalne... Bo ja proszę pana...

Nachyla się do mnie do ucha, jakby bojąc się, że przecież ktoś może podsłuchać i zwierza mi się szeptem z sekretu.

— Rozumie pan, że to powinno się zrobić? Pojmuję pan ważność?

Rozumiem i pojmuję. Nie wiem, tylko jak on to robi, jak wykona zadanie, które sam sobie postawił. Chociaż z człowiekiem o takim charakterze i takich zasadach wszystko jest możliwe.

— Jestem jedynym, który o tym wie, jedynym, który pozostał przy życiu!

Wszystkie opowiadania o bohaterstwie żołnierzy Polski Podziemnej nagle stają się dla mnie realne. Widzę je uosobione w postaci Leszka. Wiem, że nie były przesadzone. Coś tak prostego i dzielnego bije od tego chłopca, że czuję się aż skrępowany w jego obecności swoją szarością i nicością dokonań.

On tymczasem rozgrzany perspektywą swych planów perorował dalej, tłumacząc i przekonywując mnie do nich tak jakbym ja decydował, jak dawał zgodę. Słuchałem, znajdując fizyczną przyjemność w entuzjazmie tego człowieka, bardzo dojrzałego i bardzo dorosłego, pomimo swej młodości. Entuzjazm ten udzielał się, promieniował, dawał ciepło wewnętrzne i energię do czynów. Dzięki niemu w dużym stopniu zrozumiałem psychikę ludzi z A. K., dzięki niemu odwrzyłem sobie pełny obraz zagadnienia Polaków w Niemczech. I tacy ludzie, jak on są dzisiaj pierwsi odsądzeni w Kraju od czci i wiary, im zamyka się raz na zawsze możliwość powrotu.

Natrafiliśmy na ślad wspólnego przyjaciela Antka S. z Warszawy. Byli razem w niewoli. W Sandbostel. Rozmowa zesłała na obóz, zesłała na warunki. Leszek z gorącego entuzjasty zmienił się w spokojnego i trzeźwego obserwatora.

— Warunki w Sandbostel są takie, że trudno wyobrazić sobie większe naigrywanie się z „wyzwolenia“ czy „wolności“. Jest głodno, chłodno i ponuro. Brak elementarnych wygod, brak jedzenia. Natomiast już są epidemie.

Kawa stygła w filiżankach. Do drzwi zastukała Niemka, by sprzątnąć naczynia. Wypiliśmy duszkiem zimny napój.

— Ale niech pan posłucha do końca — to warto wiedzieć i warto przekazać innym... Ja z tego obozu wyjechałem dwa dni temu... Ogłoszą mnie oczywiście za dezertera, tak jak każdego kto wyjeżdża i nie wraca. Ale to zupełnie nic mi nie szkodzi... Zrobię wszystko by wyrwać się na szersze wody i móc pracować w kierunku raz obranym! Przecież do licha zadania nasze nie skończyły się automatycznie z chwilą rozwiązania A. K., z chwilą zobaczenia pierwszego munduru alianckiego.

Mniej więcej o 50 klm od Bremy wybrali sobie miejsce Niemiaszki na to sławetne obozowisko. Naokoło pola wrzosowe, bagniska, moczary. Przylatują stamtąd roje komarów tnących niemiłosiernie ludzi, tak czasami słabych, że nie są w stanie nawet przed tym atakiem się bronić. Około dziesięciu narodowości w obozie siedziało. Powstańcy słowaccy i warszawscy stanowili wszakże element najnowszy i najbardziej przez Niemców otaczany „opieką“. Liczebnie największe grupy były francuska i bolszewicka. Dlatego też obecnie komendantem obozu jest pułkownik francuski. Cholery nie ma na niego — zaklął pod nosem.

W sumie Polaków jest pomiędzy dwa i pół do trzech tysięcy. Z tej liczby aż 2200 oficerów, przeważnie wrześnieńskich. Tylko 320 z Armii Krajowej. Nie mogę powiedzieć, żeby nasze stosunki z nimi zawsze układały się po różach — to jednak wielka różnica żyć przez pięć lat w konspiracji i na wolności, a siedzieć beczynnym w niewoli. Są naiwni, zachowują się jak dzieci, pozbawione kompletnie realnego zmysłu, kontaktu z życiem normalnym, prawdziwym, zwykłym... Stąd nieporozumienia. Mówiliśmy ze sobą dwoma różnymi językami.

Zamyślił się chwilę, jakby szukając usprawiedliwienia i dla tamtych i dla siebie.

— Przed wyzwoleniem w obozie był rzeczywiście głód. Regularny, doprowadzający nawet do opuchlin głodowych. Teraz poprawiło się, ale jeszcze daleko do doskonałości... Ten Francuz, pułkownik, ma w swoich rękach całe zaopatrzenie obozu. Wszystkie funkcje administracyjne są też poobsadzane Francuzami. Dlatego oni są na pierwszym planie, nam dostają się resztki. Zaopatrzenie trzeba było zdobywać samemu — produkty wszelkiego rodzaju. Inaczej nie było zupełnie nic. Przed samym moim wyjazdem dopiero Polacy wywalczyli sobie trzy kotły dla siebie i w nich pitraszą strawę ze zdobytych jarzyn, mięsa, czy jaj. Odczuwa się bardzo brak wody do picia. Okoliczna jest tylko ba-

gienna, źródło zarazków i epidemii. W obozie koncentracyjnym, położonym w sąsiedztwie, epidemia tyfusu szerzyła się bardzo mocno. Przeniosła się też szybko na jeńców, gdzie do mojego wyjazdu zanotowano już 32 wypadki, z tego siedem wśród Polaków. Ale nie bardzo widzę szanse zatrzymania tej epidemii w obecnie panujących warunkach zdrowotnych.

Te trzy kotły jednak nie wystarczają... Pomnożyły się więc, jak grzyby po deszczu kuchenki domowego chowu, przed barakami. Każdy niemal oficer obsługuje jedną taką kuchenkę, gdzie pitrasi się to, co poza oficjalnymi „chodami“ zdobędzie się samemu... To polowanie na jedzenie powoduje niezadowolnienie nie tylko okolicznej ludności niemieckiej, która zaczyna chować swe zapasy, ale także i władz angielskich co jest objawem znacznie gorszym.

Z tym łączy się drugi problem, równie trudny do rozwiązania. Ludzie mając dosyć baraków i obawiając się chorób, brudu i nieładu, zaczęli z obozu przenosić się spokojnie na okoliczne farmy. Ot tak, jak ja tutaj zrobiłem. Przychodziło się do Niemca i rozkazywało by dostarczyć pokoju, żywności, obsługi. Z początku nie było żadnych trudności — ci pierwsi mieli doskonałe warunki, świetne jedzenie i bez szemrania wykonywane polecenia. I byłoby tak zapcwnie dotychczas, gdyby nie wtrącenie się Anglików do owej polskiej przedsiębiorczości. Zabolalo ich bezprawie i rabunek, zaniepoili się losem biednych farmerów niemieckich. Przy tym sami wydali zarządzenie, mocą którego nie wolno nic brać od ludności cywilnej bez zapłaty. A myśmy pieniędzy nie mieli żadnych. Wobec tego rozpoczął się przymusowy powrót Polaków, wygonionych z niemieckich domów przez władze Sprzymierzone, do zawzzonego obozu. Nie do wiary, ale prawdziwe!

Tak, tak, obóz jest dobrze zawzzone — odpowiedział mimowoli na moje myśli — barak wewnątrz wygląda jak wielka sala bez żadnych przegród, na której śpią pokotem oficerowie, po dwóch i trzech pod jednym cieniutkim kocem. Jedynym ich podkładem jest kurz, piasek i brud niesprzątanym porządnie podłóg. Robactwa wszelkiego rodzaju niezliczone ilości. Nie sposób się od nich obronić, ani ich pozbyć. Nie tylko bowiem brak wody do picia, ale i do mycia jej nie ma. Ostatni raz jeńcy kapali się przed Bożym Narodzeniem...

Sluchałem tego opisu i porównywałem z czym sam się zetnałem w obozach i poza obozami. Nie, to było jednak

jeszcze znacznie gorsze, znacznie bardziej makabryczne. Twarz Leszka i jego sposób mówienia wykluczał wszelkie możliwości wątpienia o prawdzie jego słów. Opowiadał to zresztą wszystko dla polepszenia losu tych co pozostali. On już był poza tą koszmarną rzeczywistością.

— Do tego tła warunków bytowania dochodzi, proszę pana, zupełnie odcięte od świata i straszne, zupełnie straszne dowództwo polskie obozu. Czy wie pan jaki pierwszy wydali rozkaz po wyzwoleniu z niewoli? No niech pan zgadnie!

Nie zgadłem.

— O zmianie salutowania! Tak, tak po stokroć tak! Dla uwiecznienia swej głupoty, małości, szarości! Opadły nam ręce zupełnie po przeczytaniu owego rozkazu i już nie salutowaliśmy dwoma palcami, ani nawet jednym! Miało się ochotę raczej żegnać zabobonnie przechodząc koło takiego wygwiażdżonego mistrza, co owe rozkazy płodził! By się odczarować od złego ducha głupoty, jaki się w nim zadowomowił, zamieszkał na wieczne czasy i już nigdy — póki on żyje — nie wyjdzie!

— Ludzie nie widzieli jeszcze polskiej gazety! Raz dostał się „Dziennik“ z Londynu, to musieliśmy go dać oprawić w ramkę i pod szkło. Inaczej albo by zginął natychmiast, albo by go podarli w strzępy bijąc się o niego. Brak zupełny książek. O radiu nawet żeśmy nie słyszeli. I muszę panu powiedzieć — jakkolwiek to może być dla pana przykre — że zetknięcie jakie mieliśmy dotychczas z ludźmi z emigracji londyńskiej było bardzo niekorzystne. Robili na nas wrażenie zapatrzonych we własne sprawy i interesy, obiecujących złote góry dla odcepienia się od trudnego problemu, niepoważnych, nie umiejących zabrać się do roboty, jaka przecież czeka ich tu wszystkich. Nie wiem, może to mylna opinia, ale prawie powszechnie taka panuje...

Leszek przerwał, jak gdyby badał moją reakcję. Milczałem. Wiedziałem przecież, lepiej tym razem niż on, że w ogromnej większości wypadków opinia jeńców z Sandbostel o londyńskich Polakach jest słuszna.

— To już chyba ma pan wszystko — chciał pan opowiadać, ma pan opowiadanie. A że one nie różowe, że ponure i że pokazuje panu w czarnych kolorach dzień wyzwolonego Polaka — to już nie moja wina! Mnie także już zaczynała ogarniać depresja! Całe szczęście, że wyrwałem stamtąd. Na 3-go Maja liczyliśmy, że zrobią jakąś uroczystość narodową, z pompą, defiladą, reklamą. Nic nie było! Za to

1-go sowieciarze urządzili wielki obchód święta robotniczego. To też było przyjemnie popatrzeć...

Leszek skończył. Przez okno zobaczyłem, że Rennie, który przez czas naszej z Leszkiem rozmowy woził na spacer Marysię i Jasną, właśnie zjechał jeepem z powrotem. Teraz najwidoczniej Leszek czekał na to co ja mu powiem.

— Wracam tam do Anglii za parę dni — zacząłem z trudem — zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pana sprowadzić do Londynu i by pana kolegom w obozie ulżyć... Czy coś zdziałam — nie wiem. Pojadę zresztą jeszcze sam do Sandbostel, by się przekonać, pogadać z ludźmi, wyciągnąć może którego.

— Tam tyłu chce do Dywizji — czy to nie jest możliwe? — przerwał mi Leszek.

— Niech pan zrozumie — próbuję łagodzić — że to zależy w stu procentach od władz brytyjskich! Może zezwola na branie jeńców z powrotem do służby czynnej, ale jeżeli nie, to jak temu zaradzić?

Machnął ręką lekceważąco.

— Jak się tylko chce, to zaradzić można! Stwarzać fakty dokonane, brać ludzi, którzy się zgłaszają, wciągać ich w stan, dawać nawet nazwiska zaginionych lub poległych! Przecież tu idzie o ratowanie narybku ludzkiego, ratowanie jedynej szansy, jaką dała nam dzisiaj wygrana wojna! LUDZI! Przysłać od was rozsądnych, młodych i mających coś do powiedzenia mówców, niech gadają, dają instrukcje jak się zachowywać, kogo słuchać, w jakim kierunku się obrócić i gdzie szukać oparcia. Dziś w obozie KAŻDY może być słuchany, jeżeli ma coś do powiedzenia! Toż to dla was ogromne pole do popisu. A im dacie oparcie moralne, którego im tak brakuje! Niech pan nie mówi, że „pan zrobi wszystko możliwe“ — nauczcie się wreszcie robić rzeczy niemożliwe, tak jak myśmy robili przez tyle lat konspiracji! Wyjdźcie, wygramolcie się z za tych biurków, za którymi siedzicie, czy śpicie i z poza których nie widzicie życia....

Zaniósł się kaszlem. Siedziałem jakiś przybity i zgnębiony znosząc z pokorą rązy, na które przecież zasłużyłem na równi z innymi.

— Przepraszam pana, bardzo przepraszam, ale to nerwy czasami ponoszą, niech mi pan wybaczy.

Nie miałem nic do wybaczenia jemu. Raczej do niewybaczenia sobie.

Leszek uspokoił się już zupełnie.



— Ja tu nie zostaję — o niech pan sobie tego nie myśli! Jadę dalej już za dwa- trzy dni! Jedna dziewczyna z A. K. wiezie nas swoim zdobyczym wozem — zaszeptał konspiracyjnie.

Zacząłem się żegnać.

— Może zrobię niemożliwe rzeczy — powiedziałem mu na koniec — ale wiem napewno, że zrobię tyle na co mnie stać. Taka rozmowa jak dzisiejsza z panem, to dla mnie, spokojnego emigranta, który już od września zdołał wiele zapomnieć, jest dużym przeżyciem.

Uśmiechnął się jakoś bardzo serdecznie.

— To dobrze. Właśnie chodzi o to, żeby to było przeżycie.

Rennie już trąbił zawzięcie.

— Jadę. Do zobaczenia Lcszku!

Uściskał mi dłoń. Niemiecka farma o bielonych ścianach została w polu.

To było rzeczywiście przeżycie. I to przeżycie głębokie.

## DYWIZJA OKUPUJE NIEMCY

Przyjechałem do Niemiec właściwie z całą walizą zamiarów na Dywizję. Zadanie moje też było wyłącznie dywizyjne. Tymczasem zasmakowałem w świecie szerszym, w Holandii świeżo wyzwolonej i w zagadnieniu Polaków w Niemczech. Ze sprawozdawcy, jakim miałem być, stałem się reporterem. Zamiast spisywać wrażenia cudze, chwytalem swoje.

Dlatego z Dywizją samą miałem kontakty minimalne. Przywitali mnie gościnną II Rzutu, miłymi słowami starych znajomych no i widokiem na który dawno, wiele lat czekałem — widokiem pełnego odwetu, branego przez polskiego żołnierza za Wrzesień. Każda wioska, każde miasteczko okupowane przez Dywizję było tego krzyczącym, przekonywującym dowodem. „Naród panów“ okupowany przez Słowian, przez Polaków! Przypomniało mi się, jak kiedyś, bodaj że w roku 1942-gim, na sali kinowej małego szkockiego miasteczka miałem odczyt. Tytuł był „Polska pod niemiecką okupacją“. Trzeba było tym oddalonym od

wojny ludziom pokazać okropność polskich warunków. Widziałem, że temat będzie ponury i smutny i że mogą nie wytrzymać. Sala była przepelniona. Zacząłem od tego, że wolałbym mówić im o Niemczech okupowanych przez Polaków. To się tak podobało, tak rozbawiło ich wszystkich, że atmosfera uległa rozładowaniu. Potem już przelknęli wszelkie gorzkie pigułki. A tymczasem ja rzeczywiście tak myślałem i takie było moje pobożne życzenie.

Siedzieli więc szkoccy weterani po dziurach niemieckich i pytali mnie, kiedy nareszcie... wrócą do Szkocji. Śmiałem się razem z nimi z tych tęsknot do „domu“ i z tego jakiegoś magnesu, który człowieka ciągnie do miejsc, w których trochę pomieszkał. Widziałem ich przy wartach, legitymujących bardzo groźnie i surowo wszystkich niemieckich przechodniów, widziałem ich przy czyszczeniu sprzętu, przy pracy codziennej, gdy rozebrani do połowy, muskularni i świetnie zbudowani działali czyścili działa i jaszczce. Widziałem ich wreszcie jak masowo ciągnęli w kierunku Niederlangen stęsknieni nie tylko widoku kobiety, z którą można bezkarnie rozmawiać, ale także i młodej, ładnej Polki. Widziałem wreszcie jak brodzili po kolana w zdobyczy wojennej — w jakiejś wiosce znaleźli w szopie składy mundurów, czapek SS-manów, książeczek partyjnych, swastyk, sztyletów. Zaprosili mnie do środka i ugaszczali szczerze — dostałem czapkę oryginalną członka bojówki hitlerowskiej, kilka książeczek pracy, stopy swastyk, srebrny krzyż niemiecki za dzielność, i na końcu jakąś parabellę datującą się pewno z końca ubiegłego stulecia... Musiałem wziąć, bo przecież nie wypada odmówić. Pałętała się po jeepie przez następne dwa tysiące mil, gruchocząc swą rękojeścią ku rozpaczcy Renniego. Widziałem ich wreszcie jak mieli bardzo stęsknione oczy i bardzo smutne refleksje — w czasie rozmów wieczornych. Wtedy, po całym dniu pełnym wrażeń i pracy, przychodziły wolne godziny. Nie było kina, nie było dziewczynek, nie było rozrywki, ani żadnej świetlicy. I wtedy to bywały momenty najgorsze i najsmutniejsze. Do głowy napływały pytania, wątpliwości, na które nikt nie umiał dać odpowiedzi. Co będzie dalej? Jak długo trwać będzie robota okupacyjna? Czy wrócimy do domów? A może do Szkocji?

Znajdywał język wspólny z Polakami w Niemczech żołnierz I Dywizji Pancernej w swoich nostalgicznych nastrojach. Zbliżał się do niedawno obcych ludzi, rzucanych losom gdzieindziej i razem szukali wyjścia, ratunku.



Potem postanawiali czekać. Dziś jeszcze pewnie nadal czekają w niepoprawnym polskim optymizmie, w formułce że, „jakoś to będzie”.

Fantazja jaką chwilami młodziki dywizyjne okazywały imponowała mi — smakowała. Zaproszono mnie, na kilka dni przed wyjazdem z terenu Rzeszy, na obiad. Ostrzeżono, że będzie niemiecki. Zapraszający strzelec, sanitariusz z 11 Kompanii Sanitarnej, mieszkał w garażu. Miał tam łącznie ze swymi dwoma kolegami pomieszczenie w jednym pokoju. Opowiadał, że codziennie rano Niemka przynosi mu do łóżka najpierw szklanę świeżej śmietany. Potem przeważnie prócz kawy dostają po dwa jajka na osobę... Żyć, nie umierać.

Wybierałem się na ten obiad nastawiony raczej sceptycznie. Rennie podzielał moje wątpliwości. Tymczasem rzeczywistość przekroczyła granice wyobraźni.

Zupa na śmietanie, wspaniale przyprawiona, bogata. Na drugie danie wjechała kura w białym sosie, ugotowana po europejsku. Do tego jakieś znakomite jarzyny. Na deser owoce ze śmietaną. Do picia burgund, na dodatek szkocka, prawdziwa whisky. Nakrycie nienajgorsze, stół czysty, obrusiki schludne. I to wszystko na polecenie, bez grosza zapłaty, bez słowa podziękowania... Zdobycz wojenna.

Z pogardą patrzałem na potrawy kanadyjskie podawane mi w obozie prasowym, nie zwracając niemal żadnej uwagi na codzienne jajka na śniadanie. Niby cóż to takiego przy regularnych dostawach? A tamci...

Dni leciały z szybkością zawrotną. Zbliżał się moment powrotu. Już dostałem zawiadomienie, że na lotnisku takim to a takim o godzinie 11.05 mam odlot. Lotnisko gdzieś w okolicach Lingen. Stamtąd godzinny przeskok do Brukseli. Potem znowu Kanał i — Londyn. To wszystko przyszło z powrotem do głowy, zajętej tyłoma innymi sprawami, dopiero we środę rano, gdy zastałem przy śniadaniu bilet samolotowy. Jest 16 maja. Odlot mam pojutrze. W sobotę już pewno będę w Londynie. Wszystko to razem jakoś wygląda bardzo nieprawdopodobnie.

Jeszcze jednak do załatwienia została podróż do Sandbostel. Tam wszakże ludzie wymagają pomocy, tam siedzi na jakiejś okolicznej farmie Antek S., którego obiecałem wyciągnąć. Do obozu zajeżdża 1500-setką przyjacieli mój, porucznik 1 Pułku Rozpoznawczego, i zabiera mnie do siebie. Stamtąd po obiedzie wyruszyć mamy do obozu Sandbostel. Tam też ma być ostatni etap mojej przygody. I rzeczywiście był.

Malownicza była kwatery Józka, mego kompana z tej eskapady. Pułk stał w lesie. Wozy ukryte pod świerkami. Szło się po mchu, kurząc niemiłosiernie butami. Droga która prowadziła do miejsca zakwaterowania była drogą polną, wyrobioną koleinami wozów konnych i samochodów. Coraz bliżej Polski... Mech pachniał gorącym latem. Pośrodku sosnowych łasków stał ukryty dom drewniany, budynek długi, stylowy, przyjemny. Spotyka się takie budowlę czasami w Tyrolu austriackim, gdzie na zupełnym odludziu. Dawny dom „Hitler Jugend”. Sala jadalna obszerna, drewniane pułapy, froterowana posadzka. Woda bieżąca, elektryczność, bogate zaopatrzenie w naczynia i szkło. Pokoje sypialne widne i obszerne.

Przyjeżdżamy tam pod wieczór. W obozie są właśnie goście w postaci siedmiu dziewczynek z Niederlangen — przyjechały na cały tydzień urlopu. Są przeważnie młodziki poniżej lat dwudziestu. Może jedna lub dwie przekroczyły ten poważny wiek. Nie przestają też chichotać podczas kolacji bez żadnego widomego powodu. Humor udziela się wszystkim.

Wychodzimy z Józkiem na drogę, podczas gdy inni tańczą przy dźwiękach gramofonu. Droga jest tym razem zupełnie polska. Z lasu wybiega pomiędzy dwa falujące pola zboża. Są miedze i jest piękny zachód słońca roztopiającego się czerwienią na horyzoncie. W powietrzu nie słychać nic prócz bzykania owadów i spóźnionych głosów ptaków układających się do snu. Idziemy ścieżką wydeptaną częściowo przez ludzi, częściowo przez bydło. Józek opowiada o Falaise i o Bredzie, o swoich walkach i przeżyciach i o tym jak ma dosyć wojny. Opisuje sceny pod Chambois, kiedy to czolgi jeździły po trupach, których takie stosy leżały, że nie sposób było sprzątać. Ma tego dosyć dokładnie, powyżej uszu. Podali go do Virtuti i Walecznych, awansował, zrobił swoje, zadanie wobec kraju wypełnił. Teraz chce myśleć o sobie i swojej przyszłości. Żeni się... Tak, z Francuską, znajomą rodziny. Potem chce kończyć politechnikę. Ostatecznie ma się prawo myśleć o własnym losie...

Ma się napewno. Ale mi trudno chwilami nawet słuchać tego co mi opowiada tak bardzo wzięła mnie natura. Robi się półmrok, ale jest tak ciepło, jak w Warszawie w czerwcową noc.

— Mam kłopoty z zakazem fraternizacji — zaczął Józek...

Z za zakrętu doszły dwa głosy: męski i kobiecy, jednocześnie zobaczyliśmy zbliżające się dwa rowery. Na jednym jechał polski żołnierz.

— O masz — no, ja im teraz dam szkołę.

Zaczął się w zbożu i w momencie, gdy pierwszy rower zrównał się z nim wyskoczył na środek drogi:

— HALT!

Żołnierz o mało nie spadł z roweru pod wrażeniem. Bądź co bądź to była Rzesza, wiecзор i puste pole. Dojrzał jednak natychmiast polski mur.

— O też mnie pan porucznik przestraszył — zauważył z ulgą, nie zsiadając ze swego siodełka.

Przejechali już prawie zanim Józek zdołał krzyknąć:

— A z kim to jeździecie? Z Niemką?

— Nie, z... Angielką! — padła już z daleka odpowiedź. Wybuchnąłem śmiechem.

Tyle narodowości mógł sobie chłopak wybrać a tu akurat — on jedzie z Angielką! Zdaje się, że w tłumie cudzoziemców w Niemczech wogóle nie ma Anglików cywilnych!

Józek dał za wygraną, ciesząc się kawalem. Ale wróciły myśli o tym jak jednak zaradzić fraternizacji.

— Obawiam się — powiedział po chwili milczenia — że pierwsze małżeństwo polsko-niemieckie będzie zamknięciem okresu wstępnego naszej okupacji Niemiec. Boję się, że tego nie bardzo będzie można uniknąć.

Wróciliśmy do kwater. Przed domem, pomiędzy świerkami paliło się ognisko, bijąc iskrami wysoko pod niebo. Naokoło stali żołnierze, ciemne sylwetki bez twarży. Śpiewali. Przyłączyły się do nich dziewczyny z A. K. dodając do chóru swe cienkie głosy.

Śpiewali „Hej tam pod lasem coś błyszczysz zdala“. Widok ten znakomicie uzupełniał zachód słońca i drogę i zboże i zapach mchu.

W kasynie dancing trwał w całej pełni, pary tańczyły coraz bardziej przytulone do siebie. Czego się nie robi dla żołnierzyków... Szczególnie jak i partner i partnerka są w mundurach.

Tak wyglądała wtedy okupacja Niemiec — takie były jej fragmenty.

Okupacja przez I Polską Dywizję Pancerną w roku 1945.

\* \* \*

Nazajutrz rano mieliśmy wyruszyć w kierunku na Sandbostel. Przez Bremę odległość wynosiła około 150 klm w jedną stronę. Według obliczeń pesymistycznych powinniśmy w ciągu popołudnia być z powrotem. Optymiści twierdzili, że będziemy z powrotem za cztery godziny.

Nie ruszyliśmy jednak przed dwunastą. Potem jeszcze sam start odwleczony został błagalnymi skomleniami kilku dziewczęcych gości, by je przecież zabrać... W Sandbostel mają kolegów z Powstania, przyjaciół, znajomych, krewnych. A przytem taka gratka pokręcić się trochę po świecie, pojeździć samochodem... Józek, który prowadził wóz, nie bardzo chciał przystać. Ale nietwardy z natury nie potrafił się klócić. Wszystkie trzy wlażyły pod budę, solennie obiecując, że nosa stamtąd nie wytkną bez znaku z naszej strony. Bo to nie wolno i możnaby od żandarmerii nieprzyjemności się nasłuchać. Dopiero o pierwszej ruszamy.

Jedziemy wzdłuż tras wojskowych. Józek, stary kierowca z Polski, wali dużą szybkością. Aż mnie chwilami ciarki biorą, gdy mija wozy idące w przeciwnym kierunku o kilka centymetrów zaledwie. Chowam mimowoli wystawiony łokieć lewej ręki.

Rozmawiamy o tym, jak Antek S. nas przyjmie, jak zareaguje. Jesteśmy zdecydowani zabrać go do oddziału i tam jakoś przechować. Nie ma mowy o zostawieniu go w obozie... Tylko czy uda się go odnaleźć!

Na piętnaście kilometrów przed Bremą jest zerwany most i obiadz boczną szosą, wąską, krętą. Wjeżdżamy w nią. Na tablicach, najwidoczniej nie dawno ustawionych, już nowe slogany. Każda zawiera pojedyncze słowo napisane ogromnymi literami. Odległość pomiędzy tablicami wynosi przeciętnie około stu metrów. Czytamy — YOU — WILL — BE — GOING — HOME — SOON — DRIVE — CAREFULLY. Patrzymy na siebie z Józkiem z uśmiechem aprobaty. Jak to doskonale i mądrze zrobione! A przy tem jakie świetne podejście! Nie tylko nadzieja na urlop, ale i na demobilizację.

Za zakrętem ukazuje się tankier kanadyjski, widać go wyraźnie, jak idzie w naszym kierunku. Coś wydaje mi się, że tym razem może jednak Józek przeholował... Chociaż może nie...

Trzask lecących szyb, gruchot blachy, uderzenie silne w kolana i ręce powyżej łokcia, kurz, ciemno w oczach od pyłu. I cisza.

— Co się stało — krzyczy Józek — Zygmunta czy żyjesz?

— Żyję — odpowiadam stwierdzając ten fakt jednocześnie i dla własnej przyjemności. — Co z nimi...?

Na szczęście z pod budy dochodzą jakieś głosy. Wygramolamy się. Muszę czekać na pomoc, samemu jakoś nie idzie. Na bardzo zgiętych kolanach wlekę się do tyłu.

Dwie nasze pasażerki podrapane i pokaleczone. Trzecia wygląda gorzej. Ma zamknięte oczy, bardzo bladą twarz i obie nogi w dziurze wyrwanej uderzeniem w podłogę. Nie możemy jej jakoś z tego uwolnić. Jest przytem najwyraźniej nieprzytomna.

Z domku obok wybiega Niemka, przychodzi na pomoc kierowca i jego pomocnik z tankiera. Po chwili dziewczyna jest przeniesiona do wnętrza chaty i przychodzi do siebie. Wygląda tylko na szok z uderzenia. Okładają ją zimną wodą. Dają do picia mleko.

Mnie tymczasem kolana coraz bardziej nawalają, a o zgięciu lewej ręki nie może być nawet mowy. Mam przytem uczucie dziwnej słabości.

Na dworze zrywa się ulewa.

Wychodzę jednak na zewnątrz, by obejrzeć wóz. Warto. Przednia oś z oboma kołami oderwana na drugiej stronie szosy, maska jedno pomięte żelastwo, bok z mojej strony wbity głęboko w karoserię. Mimo woli raz jeszcze zadaję sobie pytanie czy rzeczywiście żyję. Wyprostowaną ręką robię zdjęcie ku wiecznej rzeczy pamiętce.

— Jako druga pamiątka została mi blizna na kolanie. I wspomnienie jazdy do Sandbostel, do którego nigdy nie udało mi się dojechać. Na bambetlach starego, rozbitego wozu, wrzuconych na pogotowie kanadyjskie, które nas ratowało, dojechałem z powrotem. Wyszedłem kulejąc, w podartym mundurze, zakrwawionej koszuli i czarnej z brudu twarzy, w Westerstedde. Gdyby nie poczciwe kantyniarki z polskiej YMCA, byłbym doprawdy w kłopotcie. Napoiły mnie bowiem, nakarmiły — i zaszyły dziury. Siedziałem długie, dłużące się minuty w jadalni, przykryty jakimś litościwym kocem czy obrusem, podczas gdy tamte szyły mi spodnie. Akurat ktoś wszedł, trzeba było się przywitać, pomówić. A tu nic nie można. Każdy ruch odkryłby tajemnicę braku zasadniczej części garderoby.

Tylko Rennie triumfował — mam nauczkę by bez niego nie jeździć!



## POWRÓT

Jeep wiezie mnie na lotnisko, położone jednak prawie o 150 kilometrów od naszego obozu. Jest zimno, pogoda pochmurna. Siedzę wsadzony głęboko w pożyczony przez Renniego płaszcz i obserwuję po raz ostatni niemieckie drogi. Ciągna ludzie o kijach, zaniedbani, brudni. Dzieci jadą w wózkach, na których prócz tego, leży cały dobytek rodzinny. Przy dziurach, powyrywanych na drogach przez cofających się Niemców, pracują saperzy angielscy. W miastach mijanych nie ma sklepów, nie ma ruchu. We wsiach widać wojsko. Cywile nieliczni.

Czekam na lotnisku długie godziny. Dzień się przejaśnia i zasypiam na jarzącym słońcu. Potem podają obiad w namiotach, przepraszając jednocześnie za spóźnienie w odlocie. Dopiero późnym popołudniem wsiadam do samolotu wojskowego z długimi metalowymi ławkami pod oknami. W godzinę bez przygód, spokojnie jestem w Brukseli.

Dostaję przydział do tego samego hotelu, co na drodze w pierwszą stronę i wkręcam tam młodziutkiego porucznika-Anglika, którego chciano posłać do baraków. Jest wdzięczny i przemiły. Wygląda na dwadzieścia lat, ma o cztery więcej, jest żonaty trzy i pół roku, z tego trzy lata i trzy miesiące jest poza domem. Był we Włoszech, teraz jest tutaj i jedzie do Niemiec. Wzdycha na sam dźwięk słowa „Londyn“. Do późnej nocy rozmawiamy z nim o sprawach przyszłości brytyjskiej.

Następnego dnia odlot do Londynu. Jest sobota 19 maja. Kuleję tak, że wzbudzam współczucie... Prawdopodobnie myślą, że to korespondent ranny na froncie! Noga spuchła, zrobiła się koloru czarno-fioletowego i porządnie dokucza. Całe szczęście, że jazda samolotem nie wymaga wysiłku.

Na rynku kupuję truskawek i brzoskwiń, by zabrać je do Anglii. Oglądam jeszcze Brukselę, obserwując jej tempo życia. Obiad zjedzony w małej knajpcie w towarzystwie brata i belgijskiej bratowej (świeżo poznanej) kosztuje majątek, ale jest na poziomie zjedzonego w Polsce u Simona. Odjazd!

W samolocie podają napoje chłodzące, herbatniki, lody. Jest lot bezszmerowy, spokojny. Fale Kanału wydają mi się tym razem bardziej znajome i dłużej trwające. Wiem bowiem jaka poza nimi, za nimi, z tamtej drugiej strony jest treść. Zgłodniała Holandia, bezdomna ludność pędzo-

na przez Europę, obozy, chłopiec z niemieckiej marynarki, Marysia z Niederlangen, Leszek z Armii Krajowej, żołnierze Dywizji. To wszystko teraz jest realne i to wszystko we mnie żyje. Jadę z powrotem przeciw poto, by im pomóc!

Ostatnim aktem podróży jest „podpadnięcie“ na lotnisku i rewizja bardzo dokładna. Zabierają mi wszystkie wiezione papiery, listy z obozów, kalendarzyk osobisty, notatki, nawet kopie przesłanych do Londynu kabli... Psuje mi to humor, kłócę się, ale nie wiele pomaga. Słyszę tylko magiczne słówko „Sorry...”

Już Londyn. Victoria. Zaczyna się do spełniania zadania przywiezionego stamtąd.

\* \* \*

Piszę memoriały, wygłaszam referaty, posyłam artykuły. Słuchają życzliwie, chętnie, z sympatią. Tworzą się komitety, komisje, kluby.

Starają się docierać do władz sojusznicznych, pomóc, działać... Właśnie te władze ograniczają liczbę polskich oficerów łącznikowych, właśnie odmawiają wizy wjazdowej ludziom posiadającym na Wyspach najbliższe rodziny, właśnie nastawiają się całkowicie na politykę odizolowania tych w Niemczech od tych w Anglii. Poczta zwraca wysyłki gazet przeznaczonych dla Polaków na Kontynencie, Food Office zabrania wysyłania żywności, cenzura druków. Wytworzona w ten sposób sztuczna izolacja ma dopomóc — w przyszłości — do rozładowania masy Polaków w Niemczech w kierunku wschodnim. Skoro bowiem nie będą nic o niczym wiedzieli, skoro odczują brak pomocy od angielskich Polaków, to siłą rzeczy, normalną koleją wypadków, szukać będą tej pomocy na wschodzie... Dzisiaj te same władze pragnęły już zbierać owoce tej polityki. Daremnie.

A tam oni czekają — wywiezieni, wysiedleni, aresztowani, bici, maltretowani, żołnierze i cywile, aktywni i bierni, wszyscy cierpiący za bezkompromisową, walkę wydaną przez Polskę Niemcom. Czekają więc i Marysia i Leszek i tysiące chłopów z rodzinami i robotników i profesorów. Działa między nimi propaganda obca, wschodnia, nęcąca, przymilająca się. Działają także agencji tak zwanej wielkiej polityki, żerującej na ludzkim nieszczęściu.

W Londynie i Szkocji starają się im pomóc. Stukają do wiecznie zamkniętych drzwi urzędów, do serc ludzkich i ludzkich uczuć. Tam trafiają. Ale uczucie ustępuje, gdy idzie gra. I dlatego czujemy się tutaj — bezsilni.

\* \* \*

Wypad na Kontynent daje zetknięcie z Polską. Prawdziwą, wolną, niespaczoną, nienarzuconą przez nikogo z zewnątrz. Naród przebywający dzisiaj na niemieckim wygnaniu daje jej obraz.

*Szkocja, 7. wrzesień 1945.*

## FOTOGRAFIE W TEKSCIE

*Okładka* — żołnierz A. K. z obozu kobiecego w *Niederlangen*.

*Str. 7* — dzieci holenderskie w *Bredzie* ze sztandarami w samorzutnym pochodzie.

*Str. 17* — zwalony most na *Ledzie*.

*Str. 20* — barykada na drodze do *Wilhelmshaven*.

*Str. 32* — tłum dzieci-nędzarzy w chińskiej dzielnicy *Amsterdamu*. Dziewczynka trzyma w rękę ofiarowaną cytrynę.

*Str. 48* — w obozie kobiecym A. K. niema bieżącej wody! Donosi się ją kublami...

*Str. 57* — most drogowy wybudowany przez saperów I Dywizji.

*Zdjęcia w wykonaniu autora.*

## SPIS RZECZY:

	strona
KANAŁ JEST WĄSKI . . . . .	3
BREDA JUŻ NIE JEST POLSKA . . . . .	7
DROGA PROWADZI DO NIEMIEC . . . . .	13
KOMENDANT MIASTA WILHELMSHAVEN . . . . .	17
GŁÓD W AMSTERDAMIE . . . . .	25
POLACY W NIEMCZECH . . . . .	36
KOBIETY Z A. K. . . . .	41
LESZEK Z OBOZU SANDBOSTEL . . . . .	49
DYWIZJA OKUPUJE NIEMCY . . . . .	55
POWRÓT . . . . .	63
Fotografie w tekście (objaśnienia) . . . . .	66
Spis rzeczy . . . . .	67

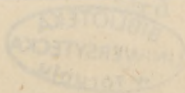
FOTOGRAFIE W TEKSTACH  
SPIS TREŚCI

3	KANAŁ JEST WĄSKI
7	BREDA JUŻ NIE JEST POLSKA
13	GRÓD PROWADZI DO NIEMCÓW
17	KOMENDANT MIASTA WILHELMSHAVEN
25	GLÓD W AMSTERDAMIE
36	POJĄCY W NIEMCZACH
41	KOBIETY I A. K.
49	LESZEK I GRÓD Z SANDOZBRODZI
55	DYWIZJA OKRUBIE NIEMCY
63	POWRÓT
66	Fotografie w tekstach (opis treści)
67	Spis treści

Biblioteka Główna UMK



300051141360



EDINBURGH  
KSIĘGARNIA POLSKA

# „Co Słychać”

2, Drumsheugh Place (obok kościoła polskiego) Telefon 21712

P O L E C A

## Nowości wydawnicze z Włoch

(II. KORPUS)

B. Andreus	Polska a „kapitalistyczna interwencja“	sh. 3/-
B. Andreus	Proces moskiewski . . . . .	„ -/9
J.K. Bandrowski	W cieniu zapomnianej olszyny	„ 5/8
W. Berent	Nurt . . . . .	„ 7/6
J. Conrad	Smuga cienia . . . . .	„ 5/3
J. Czapski	Wspomnienia Starobielskie . .	„ 3/9
G. Daniłowski	Wrażenia więzienne . . . . .	„ 3/-
G.H. Grudziński	Żywi i umarli . . . . .	„ 3/-
M. Grydzewski	Jan Henryk Dąbrowski . . . . .	„ 3/9
G. Morcinek	Wyrobany chodnik (2 tomy) . .	„ 24/-
H. Naclerowa	Ludzie sponiewierani . . . . .	„ 4/6
S. T. Norwid	Kraj bez Quislinga . . . . .	„ 7/6
A. Pragier	Cele wojenne . . . . .	„ 5/8
W. Sołski	Opowieści o Szwejkju . . . . .	„ 6/-
M. Święcicki	Czerwone diabły z pod Arnhem	„ 4/6
J. Wiktor	Eros na podwórzu . . . . .	„ 3/9
J. Wiktor	Srogі pies i sentymentalny zajac	„ 3/9
R. Wraga	Wojna sowiecko-niemiecka . . .	„ 5/8
T. Zajączkowski	Od Ostrej Bramy do ósmej armii	„ 4/6
S. Mora	} Sprawiedliwość sowiecka . . .	„ 15/-
P. Zwierniak		

Arch. Emigracji

Biblioteka

Główna

UMK Toruń

1380483

Biblioteka Główna UMK



300051141360